# PRZYGODY
# KS. MARCINA LUBOMIRSKIEGO.

Według autentycznych źródeł

opowiedział

**Władysław Chomętowski.**

(*Ciąg dalszy*).

## XXVIII.

Warszawa bawiła się przez cały ciąg karnawału wybornie; oprócz teatru i reduty, w prywatnych domach urządzono tygodniowe wieczory, były to bale lub rauty, to jest zabawy z tańcami lub bez tańców, te ostatnie miały miejsce co tydzień we środę, u pani kasztelanowéj krakowskiéj, Branickiéj, w jéj własnym pałacu na Podwalu, zgromadzenia w tym dniu były najliczniejsze, choć prawie codziennie pani krakowska przyjmowała poufałych gości. Towarzystwo na wieczorach pani Branickiéj składało się zazwyczaj z króla, jego adjutanta generała Komarzewskiego i kilku wyższych dygnitarzy, czasami jednak zgromadzało się bardzo wiele osób; podobnie liczne zebranie miało teraz miejsce w ostatnią środę karnawału. Dwa salony napełnione były gośćmi, oprócz króla, między innemi znajdowały się następujące osoby: Stanisław Lubomirski marszałek w. k. z żoną z domu Czartoryską, występował on na początku tego opowiadania jako strażnik w. k., ale przeciąg lat ośmnastu od owego czasu, zmienił go do niepoznania, tak we względzie światowego jako też politycznego życia, spoważniał i sercem i głową, a w gronie znakomitości ówczesnych niepoślednie zajmował miejsce. Aleksander Sapieha świeżo mianowany kanclerzem w. ks. litewskiego, z żoną Magdaleną siostrą ks. Marcina Lubomirskiego, słynną z piękności, która długo rej wiodła w gronie dam warszawskich, a dziś jeszcze odznaczała się niepospolitemi wdziękami, chociaż czas niemiłosierny naznaczył wskazówką swoją minione lata młodości. Obok niéj siedziała zamężna córka Sanguszko-



Syn w. ks. m. skonał onegdajszéj nocy.

wa miecznikowa litewska, któréj żywe i pełne wyrazu oczy przypominały matkę. W tymże salonie, w gronie dam starszych znajdowała się p. Ożarowska pisarzowa w. k., nieco opodal w głębokiem krześle pod oknem, siedział król Stanisław August, przy nim z jednéj strony siostra jego gospodyni domu, z drugiéj zaś strony stali ks. biskup Naruszewicz, generał Komarzewski i sławny poeta Trembecki. W drugim salonie, po większéj części zgromadziła się młodzież, kawalerowie, panny i dorodne mężatki, między któremi odznaczała się cudnemi rysami twarzy i ujmującą powierzchownością pani Józefowa Potocka krajczyna wielka koronna.

W jednym jak i w drugim salonie towarzystwo podzielone na kółka, zabawiało się rozmową, do któréj obfitego wątku dostarczały tegoroczne reduty i bale. Król po krótkiéj rozmowie z gospodynią domu powstał i przeszedł naokoło sali, wymienił słów kilka z ks. kanclerzyną litewską, która niegdyś w jego sercu pierwsze zajmowała miejsce, następnie udał się do drugiego salonu, gdzie miłym uśmiechem witał młode dziewczęta, które odpowiadały mu pocałowaniem ręki, on zaś mierzył je od stóp do głowy okiem znawcy, młodsze i dorodniejsze gładząc po twarzy z dobrodusznością ojcowską; generał Komarzewski i poeta Trembecki jak cień postępowali wciąż za królem, dopóki nie skończył tego przeglądu i nie zasiadł obok krajczyny koronnéj, którą obecnie szczególną zaszczycał łaską. Tymczasem w pierwszym salonie, księżna kanclerzyna Sapieżyna zbliżyła się do pisarzowéj Ożarowskiéj, rodzonéj swéj wujenki i następującą zawiązała z nią rozmowę:

— Nie wiem *ma chère tante*, co się dzieje z moją bratową ks Marcinową? biedna ona od pewnego czasu, unika wieczorów i towarzystw, siedzi wciąż jak zaklęta w swoim pałacu, odwiedziłam ją wczoraj i wymogłam na niéj słowo, że będzie dzisiejszego wieczoru w salonie pani krakowskiéj.

— Ks. Marcinowa nadejdzie niezadługo z moim mężem, który uwziął się rozweselać ją koniecznie, choć pewną jestem że towarzystwo tutejsze nie może wcale ją rozerwać w smutnych okolicznościach, w jakich obecnie się znajduje, rzekła z westchnieniem pani Ożarowska.

— Ztąd wnoszę, że już wiesz o wszystkiem *ma chère tante*. Biedna, biedna bratowa, otóż to jest przywiązanie i wierność mężczyzn!

— Wiem niestety! a wkrótce pewną jestem, że cała dowie się Warszawa, mówią nawet że już Marcin stara się potajemnie w konsystorzu o rozwód.

— Biedna, ona tak go kocha, zapewne nie przeżyje tego ciosu....

— Jakiekolwiek wynikną ztąd następstwa, nic pewnie dobrego nie czeka Marcina; jako najstarsza wiekiem z rodziny, pisałam do niego i zaklinałam na Boga, ażeby się upamiętał i nie wyrządzał żonie i dziecku téj krzywdy.

— *Oh! Martin, Martin est très impressionable* i bardzo gwałtowny w swych sentymentach, żadna perswazja tu nie pomoże....

— Nie mogę wierzyć, ażeby panna Honorata zawróciła mu tak głowę, widzę w téj całéj sprawie rękę człowieka, który korzystając z jego łatwowierności, uwikłał go w swe sidła.

— Domyślam się, że mówisz *ma chère tante* o ks. Adamie Ponińskim, zgadzam się na to, że może dopomaga mu do tego projektowanego małżeństwa, ale wierzaj mi, że znam bardzo dobrze *le caractère de mon frère*, jest on równie gwałtowny jak niestały w miłości.

— Znam i ja wybornie Marcina, pamiętam romansowe przygody w jego młodości, ale odkąd powrócił z wygnania i objął majątek po ojcu, zdawało mi się że się odmienił i wyszlachetniał, przez długi przeciąg czasu okazywał najżywsze przywiązanie dla żony i jedynego dziecka. Uważałam także, że podobnie jak wielu dziś mężów, niebył obojętny na ładne twarzyczki młodych osób i strzeliste okazywał im affekta, nie sądziłam przeto, ażeby tak dalece zapomniał o obowiązkach rodzinnych i taką niewdzięcznością odpłacił za przywiązanie żony.

— Nieoszacowana jesteś *ma chère tante*, jeżeli tak wierzyłaś w stałość mego brata Marcina! mężowie dzisiejsi nie mają wcale podobnych skrupułów, to też zbyt przywiązane żony wiele ciężkich doznają zawodów....

— Co mówisz kuzynko o mężach, może się także zastosować do nas samych, niestety! odparła z westchnieniem pani Ożarowska, księżna kanclerzyna zesznurowała usta i spuściła oczy, po chwili zaś namysłu podniosła w górę głowę i odezwała się z przyciskiem:

Nie warci są doprawdy mężczyzni naszego przywiązania; *ils n'ont pas d'idée ce que c'est que l'amour d'une femme!* Ale powiedz mi też *ma chère tante*, czy bratowa moja nie wie nic dotąd jeszcze, że jéj mąż krząta się w konsystorzu około rozwodu?

— Domyśla się zapewne wszystkiego, choć sprawa ta dopiero teraz ma być wytoczoną....

— Myślałam ją uprzedzić i przygotować wczoraj do grożącego jéj nieszczęścia, bo mam pewne dowody, że to wkrótce agitować się będzie, niechciałabym zaś by zła wieść dotknęła ją niespodzianie, ale wizyta pani krakowskiéj pomieszała mi szyki i musiałam odłożyć rzecz całą do sposobniejszéj chwili.

— Anna jest przygotowana do tego ciosu, winnam jéj oddać sprawiedliwość, że jest pełną rezygnacji chrześcianką. Przed parą dniami zaszłam ją niespodzianie w jéj gabinecie, klęczała u stóp ukrzyżowanego i gorące zasyłała modły; usłyszawszy szelest mych kroków zerwała się z okrzykiem trwogi, ale skoro mię spostrzegła rzuciła się w moje objęcia a na zapytanie względem przyczyny jéj boleści, odpowiedziała mi ze łkaniem: Bóg jeden

widzi moje cierpienie, on więc tylko pocieszyć mię może!

— Otóż to wszystko dowodzi *avec quelle passion elle aime son Martin, la malheureuse femme!*... byłoby wielką niegodziwością z méj strony, gdybym jéj nieokazała mego najrzetelniejszego affektu.... Ale otóż i ona nadchodzi wraz z kochanym wujem.

Ukazała się w téj chwili w drzwiach salonu smutna i blada postać ks. Marcinowéj, którą wprowadził p. pisarz koronny. Kilka lat cierpień zgasiło blask jéj błękitnego oka, ale wyraz i rysy twarzy zachowały dawną krasę; spokojny smutek czynił ją podobną do pięknego posągu z marmuru, w którym snycerz wyżłobił wyraz jednostajnéj, niezmiennéj boleści. Księżna powitała gospodynię domu, a wymieniwszy z nią słów parę, zajęła miejsce na stronie obok pani pisarzowéj koronnéj i ks. kanclerzyny.

Tymczasem w drugim salonie król rozmawiał z marszałkiem w. k., o znanéj sprawie pokojowca Jeziorańskiego z panią de Bellar, która doszła do wiadomości najjaśniejszego pana. Opowiedział marszałek cały tok sprawy, która od dni kilku była w Warszawie przedmiotem plotek i rozmaitych uwag. Skoro ks. Marcin za wyrządzenie czynnéj obelgi w jego domu pani de Bellar, uwięził Jeziorańskiego, krewni tegoż ostatniego podali zażalenie do marszałka, który zażądał wydania więźnia, dowiedziawszy się zaś, że tenże został wysłany do Lubaru pod eskortą, posłał za nim pogoń, ale ta opóźniła się znacznie, bo pokojowiec odsiadywał już czas wyznaczonego aresztu w Lubarze. Krewni szlachcica Jeziorańskiego postanowili sami rozstrzygnąć tę sprawę, napadli pałac, wyłamali drzwi więzienia i oswobodzili aresztanta, co wielce oburzyło ks. Marcina, gwałt bowiem był wyrządzony jego domowi, nadto dwóch jego ludzi dworskich ranionych zostało w tém starciu. Król roztrzygnął wszystko w kilku słowach, powiedział bowiem, że jak jedna tak druga strona postąpiła samowolnie i bezprawnie, chociaż bowiem Jeziorański był pokojowcem księcia, ten nie powinien był więzić szlachcica, ale przekazać właściwemu sądowi ukaranie tegoż, zawyrokował więc w końcu że najlepiéj uczynią obie strony, jeżeli ugodzą się dobrowolnie i umorzą tę sprawę. Wyrok ten uzyskał ogólną aprobatę obecnych, a jeden z przytomnych rymotworców chcąc popisać się z talentem i ściągnąć uwagę króla wygłosił czterowiersz:

Szczęśliwy naród, w którym król sam sądzi,
Gdzie sprawiedliwość zasiada na tronie,
Gdzie mędrzec prawa dyktuje i rządzi,
Żyj w setne lata polski Salomonie!

Król się uśmiechnął życzliwie i podał rękę do pocałowania młodemu rymopisowi. Trembecki, który ciągle towarzyszył królowi, rzekł półgłosem: wiersz jest gładki najjaśniejszy panie, ale wyznaję, że sprawiedliwość twoja wyższą jest nad największe pochwały, jéj bowiem dobroczynnego wpływu doświadcza każdy z poddanych, jako promieni słońca, które wszystkich zarówno ogrzewa. Kiedy Trembecki prawił pochlebne słowa monarsze, niezadowolony, że go uprzedził młody nieznany wierszopis, w rogu sali ozwała się muzyka i dorodna para, kawaler ks. Marcin Czetwertyński i panna Zofja Ożarowska stanąwszy naprzeciw siebie rozpoczęli tańczyć krakowiaka.

W miarę posuwającego się wieczoru, zabawa ożywiała się ciągle, młodzi w tańcu, starsi brali udział w rozmowie z wzrastającym wciąż animuszem. Ale w rogu pierwszéj sali ukryta ks. Marcinowa nie podzielała wcale ogólnéj radości, żałowała nawet, że ulegając namowie krewnych męża, Ożarowskich, towarzyszyła im na tym wieczorze. Księżna Anna odbierała wiele dowodów przyjaźni od pisarzowéj w. k., przywiązała się do niéj wielce, jako do jedynéj osoby, która z rodziny jéj męża okazywała jéj szczere współczucie, ale nie lubiła wcale księżny Sapieżyny bratowéj, unikała towarzystwa osoby, żyjącéj w wirze świata i jego zabawach, która nie zawsze była szczerą, jakkolwiek słodką i czułą przedstawiała się w obejściu. Skoro pani pisarzowa koronna wyszła do drugiéj sali, aby towarzyszyć córce, ks. Anna pozostawiona sam na sam z bratową, doświadczyła wielce przykrego uczucia i oczekiwała sposobnéj chwili, w któréjby mogła wysunąć się nieznacznie i powrócić do domu. Tymczasem ks. Sapieżyna nie zaniedbała pospieszyć z udzieleniem słowa pociechy nieszczęśliwéj bratowéj, któréj serce na wspomnienie tego ciosu jeszcze sroższą rozkrwawiło się boleścią. Ale należy oddać sprawiedliwość ks. kanclerzynie, że w tym wypadku postępowała z ks. Marcinową jaknajszczeréj, nie pochwalała wcale téj nowéj fantazji brata, usiłowała nawet, chociaż napróżno, nakłonić go do porzucenia projektu rozwodu. Prawdziwy tylko i serdeczny przyjaciel może przynieść ulgę zbolałemu sercu, słowa zaś zachęty wypływające z ust niemiłych lub obojętnych, wprost przeciwny sprawiają skutek.

Kanclerzyna miała długą przemowę o niestałości i płochości brata i w ogóle o mężczyznach, których w najczarniejszych starała się odmalować farbach, następnie unosiła się nad cierpliwością i dobrocią ks. Marcinowéj, którą obejmując wpół rękami, zawołała:

Otrzyj te łzy *chère belle soeur*, a bądź przekonaną, że cała rodzina nasza oburzona jest na postępek twojego męża a mego brata, nie masz doprawdy czego zazdrościć téj nowéj piękności, która zdobyła bez trudu, tak łatwe do pokonania serce Marcina!

Kiedy kończyła swą odezwę, ogólny ruch powstał w salonach, bo zawezwano gości do kolacji. Ks. Anna postanowiła skorzystać z tego zamieszania, wymówiła się przed kanclerzyną gwałtownym bólem głowy, a pożegna-

wszy ją wysunęła się pospiesznie do przedpokojów, w których oczekiwali na nią lokaje. Otulona futrem wskoczyła prędko do powozu, gdzie poczuwszy się swobodną, nie taiła dłużéj boleści i obfitemi zalała się łzami.

XXIX.

Przyjechał ks. Marcin na sejm do Warszawy w miesiącu Lipcu, jako poseł z województwa kijowskiego i mieszkał w dworku swoim przy ulicy Zielnéj, sprzedał bowiem już pałac *pod blachą*. Sprawa rozwodowa zbliżała się już do końca; pomimo przełożeń krewnych popierał ją ks. Marcin usilnie, bo panna Honorata Stępkowska córka kasztelana kijowskiego na piękne zawróciła mu głowę, dzięki intrygom Ponińskiego, który urażony na księżnę Annę, za to że nienawidziła go srodze i namawiała męża do zerwania z nim przyjaznego stosunku, poprzysiągł nieubłaganą zemstę, jakoż łatwo dopiął założonego celu, rodzice bowiem panny roili z owego małżeństwa świetną przyszłość dla córki i przychylali się do tego związku. Ks. Marcin, jako generał lejtnant wojsk koronnych, pozostawał pod komendą generała i regimentarza Stępkowskiego, ztąd częste miewał z jego domem stosunki, ale dawniéj nie zwracał wcale uwagi na jedyną córkę kasztelana, która teraz liczyła dopiero rok ośmnasty. Wspomnieliśmy już, że przed rokiem, w czasie kontraktów w Dubnie, powziął myśl ks. Marcin za namową Ponińskiego, zawarcia bliższych stosunków z domem Stępkowskiego, następnie jeździł z nim do Łabunia, gdzie wdzięki panny Honoraty łatwo ujarzmiły romansową jego wyobraźnię i serce. Marcin był w téj porze więcéj niż dwa razy starszy od panny, liczył już rok trzydziesty dziewiąty życia, ale ujmująca powierzchowność i męzka uroda zastępowała krasę młodości, przy tém wymowa jego i pełne wytworności obejście zniewoliło serce Honoraty, która jakkolwiek rzadko występowała w salonach warszawskich, owiana już była romansowym duchem ówczesnego świata, a pochlebny tytuł księżnéj i głośne imie wielbiciela, dopełniło reszty oczarowania. Kasztelanowie Stępkowscy przybyli również do Warszawy i zamieszkali na Krakowskiem przedmieściu w kamienicy Staniszewskiego obok kościoła św. Krzyża, Marcin Lubomirski codziennym u nich bywał gościem. Stan ówczesny ogromnego majątku księcia groził już zupełnym upadkiem, ciężary były znaczne a dochody nie wystarczały na pokrycie olbrzymich wydatków i opłatę długów, kredyt jednak jego dotąd nie był jeszcze zachwiany, choć dla uiszczenia się wierzycielom zmuszony był sprzedać pałac *pod blachą*; na mocy układu z żoną, wyznaczył na jéj utrzymanie i córki Franciszki, dobra Kolbuszowskie w Galicji, jako też kosztowności w brylantach, perłach i t. p. przekazał jéj na własność; zapis ten miał miejsce w asystencji Piotra Ożarowskiego, z powodu spodziewanego wkrótce rozwodu. Ks. Anna natychmiast po dokonaniu tego aktu opuściła Warszawę, nie chcąc zapewne być przedmiotem ciekawości ogólnéj, jako też tysiącznych plotek które z przyczyny głośnéj historji rozwodu obiegały całe miasto.

Przy obiedzie u kasztelana Stępkowskiego kilku zazwyczaj znajdowało się gości: Adam Poniński mianowany świéżo podskarbim w. k., Adam Bukar sędzia żytomierski, drugi poseł z województwa kijowskiego, Szwejkowski stolnik Owrucki i ks. Marcin Lubomirski, który uważany już był w tym domu za członka rodziny. Towarzyszył temu ostatniemu młody porucznik z jego regimentu Wąsowicz; z kobiet była jedna tylko córka stolnika, panna Zofia Szwejkowska. Grono domowników składało się jedynie z samych państwa, ich córki Honoraty i panny rezydentki, nazwiskiem Buczackiéj, która była wychowanicą kasztelanowéj i w każdéj towarzyszyła jéj podróży.

W kilka dni po rozpoczęciu konfederacyjnego sejmu, rzeczone osoby były na obiedzie u kasztelana Stępkowskiego, po skończonéj biesiadzie towarzystwo podzieliło się na trzy koła; gospodarz domu z Adamem Ponińskim, p. stolnikiem Szwejkowskim i sędzią Bukarem, zasiedli około stolika, zabawiali się rozmową o bieżących wypadkach i zapijali wino. Naprzeciw, w drugim rogu komnaty ks. Marcin Lubomirski i porucznik Wąsowicz stroili koperczaki do panien Honoraty i Zofji, nieco opodal od nich siedziała kasztelanowa z panną Buczacką. Książe Marcin był niezmiernie wymowny, życie pełne przygód, częste podróże za granicą kraju, dostarczały mu niewyczerpanego wątku, dodajmy do tego mnóstwo projektów, które wciąż tworzyła jego bujna wyobraźnia, a niezadziwim się wcale, że rozmowa jego miała niepospolity urok dla panny Honoraty i że ośmnastoletnia dziewica z natężoną słuchała go uwagą. Mówiliśmy już że Marcin był wielkim miłośnikiem sztuk pięknych i teatru i że urządził komedjooperę w Dubnie, w któréj panna Albani główne przedstawiała role, doznając jednak licznych prześladowań z tego powodu odstąpił włoszkę Ponińskiemu, który zrzekł się praw swoich na korzyść warszawskiego teatru, z wielką pociechą Ryxa. Właśnie ks. Marcin o tem wydarzeniu rozpowiadał pannie Honoracie:

Wyobraź sobie wacpanna jak wielka jest złość i zawiść ludzka! wymyślono na mnie potwarz jakobym pałał gorącym affektem dla włoszki Albani, w chwili, w któréj dałem dowody całemu światu, jasne jak słońce, że jeden tylko obraz wacpanny noszę w mem sercu.

— Może te dowody nie były jeszcze tak jasne jak się w. ks. m. zdaje, bo przecież przyjaciel jego najszczerszy ks. Adam Poniński, nieraz posądzał go o to samo, odparła z zalotnym uśmiechem panna Honorata.

— Ks. Adam Poniński jest szczery mój

przyjaciel, więc wolno pożartować mu ze mnie, zwłaszcza że wiem dobrze jako wcale nie wierzy temu i że nie on wymyślił tę bajkę. O! gdybym mógł odkryć rzeczywistego autora potwarzy, musiałby strzelać się ze mną, bo kto nastaje na mój honor ten krwi mojéj żąda, bowiem krwią tylko zmyć można taką obelgę.

— Nie spodziewałam się wcale, ażeby wieść ta tak srodze was rozgniewała, bo wyznam szczerze, że komedjantka ta jest bardzo piękna, a uważałam sama będąc w teatrze, jak czule spoglądała ze sceny na lożę w. ks. m.

— Jak sądzę, wacpanna uwzięłaś się także i chcesz prześladować mię okrutnie; za nic ważysz przysięgę, jako sercem i myślą jestem sługą wacpanny a ku żadnéj innéj osobie najmniejszego nie mam affektu.

— Chciałabym wierzyć temu, odrzekła z miłym uśmiechem panna kasztelanka, po chwili zaś dodała: Ale musisz mi dać słowo książe, że porzucisz na zawsze ten teatr, bo inaczéj złe języki szarpać będą twą sławę, która mię obchodzi dziś tak żywo.

— Uczynię wszystko dla ciebie, duszo, kochanie moje, wyrzeknę się teatru, komedjantów odstąpię Ryxowi i całą rozpuszczę trupę, jestem powolny jak dziecko na twoje rozkazy, bylebyś tylko wacpanna nie pogardzała moim affektem.

To powiedziawszy, książe pochwycił dłoń panny Honoraty, która czułym odpowiedziała mu uściskiem i wejrzeniem.

Kasztelanka była piękna w całém znaczeniu wyrazu, jéj kibić była kształtna choć wysmukła jak brzoza, duże piwne oczy świeciły ogniem młodéj wrażliwéj duszy, a różowe usta zdały się rozkwitać w uśmiechu wiecznéj swobody i rozkoszy.

Kiedy książe generał wynurza swe affekta pannie Honoracie, a porucznik Wąsowicz prawi komplementa pannie stolnikównie, w przeciwnym rogu sali żywe przy kielichu toczyły się rozprawy. Cztery osoby składające towarzystwo około stolika dziwny stanowiły kontrast tak pod względem powierzchowności, jakoteż duchowego nastroju; dość było rzucić okiem, ażeby zauważyć tę rażącą sprzeczność. Obok Adama Ponińskiego siedział stolnik Szwejkowski, pierwszy z upudrowaną głową, z bladą i wywiędłą twarzą, z piętnem przedwczesnéj starości na pomarszczonem czole, drugi sędziwy starzec latami, ale jeszcze czerstwy i rumiany, z wysokiem podgolonem czołem, z żywem okiem, z podbródkiem i szeroką szyją, z wyrazem młodzieńczéj energji, któréj ani niepomierne użycie wina, ani burdy na sejmikach i zwady z sąsiadami osłabić i spożyć nie mogły. Dwaj inni przedstawiali różne typy, jakkolwiek więcéj byli zbliżeni duchem i żyli w ścisłéj przyjaźni. Kasztelan Stępkowski był to żołnierz dawnéj daty, śmiały i energiczny w czynie. wypełniał szybko zlecone mu poruczenia i wymagał ślepego posłuszeństwa od młodszych, którzy pozostawali pod jego komendą, ale częste stosunki z dworem króla i wyższą sferą społeczeństwa, starły z jego czoła przyrodzoną szorstkość, to téż po za obrębem służby był uprzejmy w rozmowie i obejściu, chociaż marsowy wyraz twarzy przypominał że jest starym wojakiem. Przyjaciel kasztelana, Adam Bukar, był to biegły prawnik, stanowisko jego było pośredniczące pomiędzy magnatami a szlachtą, posiadał téż wielką zręczność w jednaniu sobie przyjaciół, chociaż wychowany w dawnéj szkole, umiał zastosować się do wymagań czasu, nie napastował nigdy publicznie zasad, ustępujących pod naciskiem nowéj idei, ale hołd oddawał wszelkiéj reformie, którą większość myślących ludzi usiłowała wprowadzić w życie. W ostatnim punkcie różnił się sędzia od kasztelana, który obojętnym był zupełnie widzem w politycznych zapasach, szanował nieograniczenie króla, jako rozdawcę łask wszystkich i jako reprezentanta najwyższéj władzy, ale nie troszczył się wcale o to, jak dalece jego zamiary i czyny zgadzają się z dobrem kraju.

Pierwszy książe podskarbi Poniński podał powód do rozprawy zakończonéj zwadą, skoro wychyliwszy do dna ogromny puhar, zwrócił się do siedzącego obok Szwejkowskiego z następującą przemową:

Spodziewam się, że każdy z obywateli, którzy byli świadkami mądrych czynności naszego króla przy rozpoczęciu teraźniejszego skonfederowanego sejmu, przyzna niewątpliwie, że roztropność Stanisława Augusta równa się jego gorącéj miłości kraju, któréj tak liczne dał już dowody.

— Nie chcę uwłaczać dobrym zamiarom i troskliwości najjaśniejszego pana, ale życzyłbym usłyszéć z ust w. ks. m. jakie to są dowody roztropności, którą król nasz okazał przy rozpoczęciu tego sejmu? rzekł z przekąsem Szwejkowski i rzucił na obecnych pełnym znaczenia wzrokiem.

— Dowody te są jasne jak słońce, bo w przeciągu dni kilku rozpoczęły się już czynności sejmu, kiedy przeciwnie, gdyby mądrość naszego króla nie skierowała była umysłów ku zgodnemu obiorowi marszałków i sędziów sejmowych, kilka tygodni mogło było upłynąć na daremnych rozprawach i zwadach.

— Przyznaję, że ten sposób, który w. ks.m. masz na myśli, jest łatwy i najprzyjaźniejszy do wykonania arbitralnych zamiarów, ale jest nieprzyzwoity wcale w wolnej rzeczypospolitej. Sejm skonfederowany bezprawnie nie jest sejmem, a bez otwarcia izby poselskiéj i zagajenia jéj marszałka, nikt go nie ma prawa stanowić, a tem więcéj wybierać marszałków i sędziów.

— Owszem, była reprezentancja z posłów, którzy przychylili się do postanowienia króla i Rady, a że nie wszyscy przytomni byli aktowi konfederacji, to nie dowodzi wcale, ażeby akt ten był nieprawny. Król w mądréj swéj przezorności ułożył plan zawiązania konfederacji,

obioru marszałków i sędziów, tak że wszystko odbyło się spokojnie i przyzwoicie, a skoro prędko zatwierdzone zostaną projektowane reformy, kraj ztąd błogie skutki królowi swemu zawdzięczać będzie.

— Reformy i zawsze reformy! książe podskarbi koronny, dobrze ich czujemy i znamy, ale błogich skutków nie widzę, ani téż niespodziewam się wcale!

To powiedziawszy p. Szwejkowski, wychylił spory kielich, jakby dla większéj otuchy i tak prawił daléj z wzrastającym zapałem:

— Od lat czterdziestu bywam na sejmach i sejmikach, ale bogdajby nigdy nie oglądały moje oczy zgorszenia, którego dziś jestem świadkiem. Tam widzę jak z rozdwojonych sejmików sekretnie i arbitralnie naznaczają posłów, tam zmuszają do milczenia lub ucieczki, tu znów na sejmie nie dopuszczają większości przybyłych posłów dc izby obrad i trzymają ich za drzwiami; otóż to mi są skutki tych przechwalonych reform, że nie wyliczam innych i boleśniejszych jeszcze, o których nie można pomyśléć bez sromu.

— Zwady i rozdwojenia ua sejmikach, o których wspomniałeś mi waszmość, nie miały by zapewne miejsca, gdyby wola królewska szanowaną była, jak przystoi. Otóż król nasz sprawiedliwy i mądry, pragnąc zaradzić klęskom, które nieochybnie wiodą kraj do zguby, stanął sam na czele konfederacji, co zaś dotycze się niektórych dawnych zwyczajów, poczynił pewne odmiamy, a to jedynie ze względu publicznego dobra.

— Niech przepadnie na wieki takie dobro, które łamie uchwalone od wieków prawa, uznane przez naród za chwalebne i słuszne! niech przepadnie każdy z wyrodnych synów, który je znieważa i depcze!

Wymawiając ostatnie słowa z wielkim zapałem, stolnik uderzył silnie w stół ręką, a twarz jego zaczerwieniła się jak w ogniu. Poniński struchlał na widok zaperzonego gniewem starca, zamilkł i spuścił głowę z silnem postanowieniem nie prowadzenia dłużéj tak drażliwéj dysputy. Kasztelan kijowski okazał wielkie zadziwienie, że stolnik Owrucki tak niedyskretnie rozmawia i tak lekko traktuje księcia podskarbiego koronnego, Adam Bukar zakończył rozprawę zręczną odezwą, że król pan najmiłościwszy, godzien jest najwyższego szacunku i zaufania, szkoda tylko że złamał w pewnych względach ustawy, jak to słusznie zauważył ks. Lubomirski marszałek w. k., mówiąc: że nawet złe prawa na przyszłe tylko czasy odmienione być mogą, w obecnéj zaś chwili, jakiekolwiek są, zachowane być powinny.

Na tém orzeczeniu posła kijowskiego zakończyła się w przedmiocie sejmu toczona rozprawa, poczém kasztelan z ks. podskarbim zasiedli do kart, stolnik zaś ochłonąwszy z gniewu zabawiał rozmową Bukara. który chętnie nadstawił ucha jego opowiadaniom, albowiem Szwejkowski pamiętał jeszcze czasy Augusta II i był żyjącą kroniką owej epoki. Ks. Marcin rozmawiał naprzemiany z panną i z panią kasztelanową, która miłem okiem spoglądała na przyszłego zięcia Porucznik Wąsowicz korzystał z ogólnego zajęcia, a nagadawszy mnóstwo komplementów Zofji Szwejkowskiéj, zaczął badać affekta panny, która choć nieodpowiadała i rumieniła się wielce, oczy jéj jednak nieokazywały bynajmniéj odmowy, ani wstrętu. Słowem wszystkie osoby były zadowolone ze swego towarzystwa.

XXX.

Wkrótce po otrzymanym rozwodzie, pojął ks. Marcin za żonę pannę Honoratę Stępkowską. Ożarowscy przeciwni temu rozwodowi i powtórnemu małżeństwu obrażeni byli na księcia, jako też inne osoby z jego rodziny, ale czas złagodził pierwsze wrażenie, zapomniano wkrótce o ks. Annie, która nie chciała okazywać swéj boleści przed światem, porzuciła dawne stosunki i mieszkała stale w Kolboszowéj, gdzie poświęciła się dalszemu kształceniu córki. Trzy lat upłynęło od zawarcia nowego związku, którego owocem był syn dwuletni imieniem Stanisław; świat ówczesny był aż nadto pobłażliwy na wady i zdrożności, które były powszednim chlebem epoki, to też wszyscy winszowali księciu powtórnego ożenienia i syna, małżonkowie przeżyli ten przeciąg czasu, jak jedną chwilę, w upojeniu, w szale miłości, otoczeni uwielbieniem i hołdami przyjaciół, których tak liczne grono otaczało zawsze ks. Marcina; bracia Ponińscy nieodstępowali go ciągle, Adam nabył od niego prawo do dóbr Barskich, Kalikst kawaler maltański traktował z nim o dobra Połonne, Janowiec przeszedł już w obce ręce za długi. Ożarowscy okazali się prawdziwemi przyjaciołmi siostrzeńca swego, dokładali wszelkich starań, ażeby go odwieść od rozwodu i płochego romansu, wyczerpawszy napróżno środki namowy i przedstawienia, dopilnowali w końcu ażeby zabezpieczył przyszłość pierwszéj żony i córki, teraz zaś zaklinali gorąco, ażeby zerwał stosunki z Ponińskiemi i nie wyzuwał się z majątku, ale i w tym razie usiłowania ich były daremne; ks. Marcin nie miał siły porzucić przyjaciół, którzy schlebiając namiętnościom, zawładnęli zupełnie jego umysłem.

Już od roku mieszkał w dziedzicznym swym majątku, w mieście Lubarze, w świeżo wybudowanym pałacu, do którego przeniósł z Janowca i z Warszawy bogate sprzęty i dzieła sztuki, dwór prowadził wystawny, utrzymywał liczną służbę i nadworną muzykę. Lubar założony przez Lubarta syna Gedyminowego w połowie XIV wieku, w dawném województwie wołyńskiém, powiecie krzemienieckim, leży nad rzeką Słuczą, która przedziela stare miasto od nowego. Po lewéj ręce rzeki, w części starego miasta stał niegdyś obronny zamek, wśród obszernego rynku

wznosił się murowany ratusz ze sklepami, kościół i klasztor bazylianów; tu była główna kwatera regimentu generała lejtnanta wojsk koron: i rotmistrza chorągwi pancernéj księcia Marcina Lubomirskiego. Oficerowie pozostający przy boku księcia, byli: Major Ekhard, niemiec dowodzący regimentem, kapitan Turski i porucznik Wąsowicz. Kapitan Turski oprócz służby wojskowéj, pełnił obowiązki marszałka dworu, w czasie pobytu księcia w Lubarze. W przeciągu lat ośmiu, od czasu mieszkania w Krawarnie, inne zupełnie osoby składały dwór ks. Marcina; oficerowie Suski i Siemoński, jakotéż ksiądz Drużbacki, już nie żyli, ojciec Atanazy dawny kapelan, od chwili rozwodu księcia z pierwszą żoną, porzucił dwór jego i osiadł w klasztorze w Lubarze, oburzony za powtórne ożenienie ze Stępkowską, nie uczęszczał odtąd do jego domu i pomimo niejednokrotnych nalegań nie dał się nakłonić do opuszczenia klasztoru, w którym postanowił przepędzić resztę życia.

Było to w ostatnich dniach lutego roku 1780, około godziny piątéj po obiedzie, siedział ks. Marcin sam jeden w obszernéj sali, około płonącego na kominie ogniska, powróciwszy świeżo z Dubna, gdzie układał interesa z księciem podskarbim koronnym, oczekiwał przyjazdu żony, która miała wrócić na jego spotkanie w Lubarze, z domu rodziców, gdzie gościła od czasu wyjazdu męża. Książe Marcin był smutny i zadumany głęboko, od pewnego już czasu samotność była dla niego nieznośną, bo wywoływała obrazy przeszłości, nakształt cieniów powstających z grobów, które z wyrzutem na ustach opowiadały mu swe dzieje lub przedstawiały sceny z ubiegłego życia. Widocznie usiłował książe zażegnać i odpędzić złowrogie mary, powstawał parę razy z krzesła, z brwią zmarszczoną, z pochylonem czołem, z założonemi na krzyż rękami, biegał tam i napowrót po obszernéj sali, lub zatrzymywał się przed oknem i spoglądał i nadstawiał ucha, ażali nie usłyszy turkotu powozu.... Ale cisza była zupełna, a zapadająca mgła wieczorna zasłaniała widok okolicy, wśród któréj rysowała się jeszcze dość wyraźnie baszta starego zamczyska, przypominająca rodzinne gniazdo, wspaniałe mury Janowieckiego zamku; wspomnienie to zraniło go tak boleśnie, że przysłonił oczy i odwrócił natychmiast głowę. Próżno usiłował odegnać natrętne cienie! jedynem lekarstwem przeciwko tym marom były uczty, muzyka i tany, gwar licznych głosów i brzęk puharów, lub upajający szał miłości, która jak spędza prędko, tak prędko nowe nasuwa troski. Powiódł książe niechcący okiem po ścianach, a światło płonącego na kominie ogniska, padło na portret miecznika koronnego, jego ojca, który stał w ramach jak żywy, z poważnem, surowem obliczem, z bystrem wymownem okiem, w kontuszu i żupanie, z ręką opartą na karabelli... rzecz dziwna że nigdy jak w téj chwili portret ten nie sprawił na nim takiego wrażenia; zdało mu się nawet że miecznik podnosi już groźną rękę i z ram wysunie się za chwilę, w zamiarze skarcenia syna za płoche i nierozważne czyny. Struchlał Marcin i wzrok w inną skierował stronę, ale wszystkie twarze przodków przenikały go do głębi duszy wyrazem groźnego tajemniczego wzroku, którego znieść w téj chwili nie miał siły.

Turkot zajeżdżającego powozu przerwał ciężkie marzenia Marcina, wybiegł prędko do sieni z myślą powitania żony, ale niemiłéj doznał niespodzianki, kiedy miasto księżny Honoraty ujrzał ogromną postać stolnika Szwejkowskiego otulonego futrem, który po zwyczajnem powitaniu, grubym zawołał głosem: Szczęśliwy jestem mocno, że zastaję w. ks. m. w domu, mam bowiem najpokorniejszą prośbę do niego o wspomożenie i wydźwignienie z nieszczęścia, które pochyla mię ku ziemi i przygniata pierś moją, jak niemoc pokutującego Joba.

Książe wysłuchał z zadziwieniem szczególnego wstępu do rozmowy starego stolnika, rumiane bowiem jagody nieokazywały żadnéj wspólności z cierpieniem Joba, jakkolwiek głos jego drżał pod wpływem silnego wzruszenia, a czoło miał zachmurzone głęboką troską.

— Rad jestem służyć wacpanu, o ile to będzie w méj mocy. To powiedziawszy roztworzył drzwi salonu i wprowadził do niego gościa; następnie poprosił go ażeby odpasał karabelę, poczém zasiedli około ogniska.

Zegar wybił godzinę szóstą, kamerdyner wniósł świéce i postawił na dużym okrągłym stole. Pierwszy stolnik Owrucki rozpoczął rozmowę.

— Wielkie i niespodziane na dom mój spadło nieszczęście, porucznik w. ks. m. Wąsowicz, dopuścił się dzikiego czynu, który imie jego okrywa infamią, a szkodzi sławie całego regimentu; wiadome już są zapewne w. ks. m. szczegóły tego haniebnego postępku?

— Nic nie wiem mości stolniku, kilka dopiero godzin jak powróciłem do domu, ale nie spodziewałem się nigdy, ażeby mój porucznik dopuścił się jakiéj zbrodni; jest on jednym z najspokojniejszych oficerów i nigdy żadnéj nie popełnił burdy, jest uczciwy i trzeźwy, bo nie pamiętam ażeby kiedykolwiek przebrał miarę w napoju....

— Nie znasz widzę w. ks. m. swego oficera, może i to być że sprawia się trzeźwie, ale tego jeszcze za wielką nie uważam cnotę, bo my i przodkowie nasi piliśmy za dziesięciu dzisiejszych młokosów, rąbaliśmy się nieraz uczciwie, a przecież oddawaliśmy zawsze co się komu należy, a w przyjacielskim domu nie wyrządzaliśmy gwałtów, ani też płacili taką podłą monetą za gościnność i szczerość.

— Cóż więc, jaki gwałt wyrządził wacpanu mój porucznik?

— Ani mniéj, ani więcéj, tylko wykradł z domu moją Zosię w nocy, książe mój dobrodzieju, uprowadził ją jak złodziéj lub rozbójnik; już trzeci dzień upłynął, jak szukam wiatru po świecie, bo zniknęli bez wieści i śladu.

— Żal mi cię szczerze mości stolniku, ale trudno zaradzić już temu, porucznik musiał miéć przyzwolenie panny, bo inaczéj nie sprawiłby się tak cicho.

— Może i miał przyzwolenie, bo któż białogłowskie odgadnie fortele... ale przed tą haniebną i niefortunną akcją, gotówbym był przysiądz za Zosię nie raz ale dziesięć razy, że niezdolna jest wcale do takiéj *imprezy*; zawsze potulna i skromna, podobna była do nieboszczki jak dwie krople wody. Widocznie już takie było *fatum* moje, bo zaślepiłem się tak srodze, że często przyjmowałem w domu tego hultaja, który korzystając z méj nieuwagi, jak w dobréj podpiłem kompanji, zawrócił głowę Zosi i namówił ją do ucieczki. Zlituj się w. ks. m. nad mą dolą i dopomóż mi do odszukania mego dziecka!

— Wszystko uczynię dla wacpana, co jeno w mojéj jest mocy, natychmiast poślę ordynans do majora, ażeby jechał do Łabunia, zkąd wziąwszy konwój od kasztelana, puści się w pogoń za porucznikiem, jeśli zaś odszuka tę parę, odstawi do rąk ojcowskich pannę; ale zastanów się mości stolniku, co ztąd dobrego wypadnie? Prawdopodobnie Zosia nie była przyniewoloną i dotychczas ślubną już jego jest żoną, nie sądzę, ażebyś wacpan nie bacząc na szczęście swéj córki chciał rozrywać ten węzeł.

— Niech będzie jego żoną, jeżeli nie waży za nic miłość i błogosławieństwo ojca! Ten czyn okrutny okrył dom mój infamią, a stare moje lata wieczną zatruł zgryzotą. Czemuż nie prosił mię, jak przystoi, ażebym córkę oddał mu w zamęźcie, nie sprzeciwiałbym się był temu, widząc affekt ku niemu Zosi. Dziś nawet nie myślę wcale o wyrządzeniu gwałtu, raz jeszcze powtarzam, niech żyje z mężem, którego bez wiedzy ojca sama wybrała, ale gotów jestem poruszyć niebo i ziemię, ażeby ją odszukać i dać jéj przynajmniéj naukę, jak winna być szanowana ojcowska wola, jego zaś niech król i władza wojskowa sądzi, do któréj na ręce kasztelana kijowskiego, myślę zanieść prośbę.

Ks. Marcin wziął ze stołu świecę i poszedł do biórka, przy którém napisał rozkaz do majora Ekharda, względem odszukania porucznika Wąsowicza, poczém oddał go do rąk Szwejkowskiego:

— Oto jest ordynans, o którym mówiłem przed chwilą, może zechcesz sam wacpan oddać go Ekhardowi i poprzeć swem przedstawieniem tę sprawę?

— Uniżenie dziękuję w. książęcéj mości odrzekł stolnik przyjmując pismo, poczém pożegnał gospodarza, który go odprowadził do sieni.

Ks. Marcin przechadzał się znów po sali wielkiemi krokami, ale teraz niedługo pozostawał w samotności, bo wszedł marszałek dworu i zarazem sekretarz jego, kapitan Turski, żołnierz z czasów konfederacji, który znał księcia już od lat dawnych i niejedną wyświadczył mu usługę, ale los go rozdzielił z nim na długo i dopiero od czasu powtórnego ożenienia, wszedł w usługi Lubomirskiego jako sekretarz i marszałek dworu. Kapitan był wybornym typem starego szlachcica, który wyrósł i kształcił się na dworach magnatów, ojciec i dziad jego byli jeszcze wychowańcami Lubomirskich. Turski znał dokładnie całą genealogią rodziny swego pryncypała, czcił pamięć znakomitych mężów, którzy odznaczyli się w radzie lub na wojnie, miłował wszystko co było swojskiem i narodowem; ale przechowując w sercu głęboką cześć dla tradycji, wolny był od wszelkich przesądów, zapatrywał się zdrowem okiem na ludzi i wypadki, rzadko przebrał miarę w napoju, a w pożyciu towarzyskiem nietylko nie był rubasznym, ale owszem odznaczał się ogładą i uprzejmością. Jedną z największych zalet kapitana była miłość prawdy i szczerość, która nietylko nie jednała mu przyjaciół, ale przeciwnie stała się źródłem licznych kłopotów. Kapitan był zawsze z powinnym szacunkiem i uległością dla ks. Marcina, rozkazy jego wypełniał święcie, jako sekretarz i marszałek dworu czuwał nad jego interesami, tak w obrębie domowego zarządu, jako też ogólnéj sprawy majątku, ale nieraz nadzwyczaj śmiało wypowiadał swe zdanie, ganił nawet postępki księcia, które nie zgadzały się z jego przekonaniem, słowem żaden z przyjaciół ks. Marcina nie działał z nim tak odważnie i szczerze, jak jego własny marszałek dworu.

Turski oddał głęboki ukłon księciu i stanął po stronie komina zadumany, z założonemi na krzyż rękami i ze zwieszoną głową.

Ks. Marcin zauważył smutną postawę sługi, zbliżył się więc do niego i rzekł łagodnie:

— Przez czas mojego pobytu w Dubnie, posmutniałeś coś kapitanie, powiédz że mi przecie, proszę, co słychać u nas i w okolicy?

— Nic nie słychać dobrego, odkąd w. ks.m. wyjechałeś od nas do tego nieszczęśliwego Dubna... rzekł ruszając ramionami Turski.

— Jak widzę, wacpan jesteś srodze zagniewany na Dubno, ależ to wcale niesprawiedliwie, na Boga!.. nie znasz może kontraktów? na przyszły rok musisz ze mną pojechać kapitanie, a przekonasz się na własne oczy jak tam ludno i wesoło; u ks. podskarbiego koronnego zbierają się dniem i nocą, widocznie jak na odpuście, przez dzień cały piszą się umowy i dobijają rozmaite interesa, w nocy gwarzą aż miło przy kolacji i wytrawnem winie, a przy stolikach z kartami brzęczy i sypie się obficie istny deszcz złoty.

— Słyszałem dużo o tych kontraktach, a ks. Adama Ponińskiego znam jak zły szeląg,

wiem że jest dobry towarzysz przy kielichu, a lepszy jeszcze, kiedy układa interesa, niech to jednak nieobraża w. ks. m. że wyznam szczerze i bez ogródki: ten książe podskarbi kor. skrewi za lada chwilę, bo choć jest szczwany lis, jakich mało, za wielki ciężar wziął na swe barki, chwieje się i upadnie wraz ze wszystkiemi, którzy wierzą w niego jak w ewangelię. Strzeż się w. ks. m., strzeż, mówię, ks. Adama Ponińskiego!

— Strzedz mi się każesz wacpan podskarbiego jak djabła, a ja mu na to odpowiem, że Poniński jest prawdziwym moim aniołem, wybawcą, bierze na siebie interesa Barskie i wspomaga mię w największéj potrzebie, dając rewers na trzy tysiące czerwonych złotych....

— Wybacz j. o. ks. dobrodzieju! że powiem znów szczerze, znam wybornie p. podskarbiego łaski, oddajesz mu interesa Barskie, a on będzie ztąd ciągnąć korzyści i intraty, sprzedajesz w. ks. m. jemu czy jego bratu dobra Cudnowskie, a oni dają za to trzy tysiące czerw. złotych.

— Ależ na Boga! nie znasz wacpan wcale naszéj umowy.... Cudnów nabywa ks. Kalikst, a Połonne ma kupić również ks. Adam podskarbi, dla zaspokojenia wierzycieli, z któremi chcę się raz rozpłacić by nie mieć tego ciężaru na sumieniu. Może Bóg wkrótce naznaczy kres memu życiu i wypadnie stanąć na jego ostatecznym sądzie, chcę przynajmniéj dobre imie i czysty ostatek fortuny przekazać memu synowi.

— Syn waszéj ks. m. nic potrzebować nie będzie! rzekł ponuro kapitan, ale zatrzymał się na chwilę, poczem dodał:

— Choć mówię, syn w. ks. m. nic potrzebować nie będzie, ratuj się książe na pamięć tegoż syna i ś. p. twego ojca, który ci przekazał tę fortunę, stare dziedzictwo przodków; nie oddawaj, na Boga! w ręce podskarbiego, który wierzycieli nie spłaci i w niczem nie dotrzyma słowa.

— Co znaczą te słowa kapitanie, że syn nic odemnie potrzebować nie będzie? chociażby nawet jakie niespodziewane spadło nam dziedzictwo, zawsze jako ojciec mam obowiązek troszczenia się o los jego.

— Mamże w. ks. m. smutną oznajmić nowinę.... to powiedziawszy zatrzymał się kapitan, bo zauważał że książe pobladł jak chusta i zachwiał się na nogach.

— Dokończ kapitanie!

— Syn w. ks. m. już nie żyje.

— Czy być może! Honorata pisała przed kilkoma dniami, a nic mi nie doniosła, zaklinała tylko, abym przyjeżdżał, na miłość syna!

— Syn w. ks. m. skonał onegdajszéj nocy.

Ks. Marcin rzucił się na krzesło i zakrył twarz rękami.

*(D. c. n.).*

---

# ŻELAZNA BUŁAWA.





W piękny dzień wiosenny, którego wrażenie rozpraszało smutek uciskający wszystkie serca, z powodu krwawych wojennych zapasów z tatarami i kozactwem, oraz klęski doznanéj niedawno pod Batowem, tuż obok szerokiego gościńca wiodącego do Lwowa, młode chłopię poganiało żwawo woły ciągnące pług po roli.

— A nuże, a śpieszcież się! miły Boże! słońce już się chyli ku zachodowi, a tu jeszcze tyle do roboty! Oj, potrzebaż mi było uganiać się za ptastwem leśnem, aby potém słuchać łajania pani matki, żem pola nie doorał!

Gdy tak zawodziło pacholę, woły jeszcze leniwiéj ciągnąć poczęły, jak gdyby znalazły jakiś opór w ziemi.

— A toż biéda dopiero, ani ruszyć niechcą, no pospieszcie tylko ten raz jeszcze! prosił żałośnie chłopiec i woły jak gdyby zrozumiały to wołanie, jak wezmą szarpać tak i wyrwały z roli pług wraz z zawadą, która go przytrzymywała.

Była to hetmańska buława cała ulana z żelaza.

— No i cóż mi z tego, szeptał z cicha podnoszą ją chłopiec, żeby choć znaleźć było gościńca do domu!....

Gdy tych słów domawiał, zatętniało na drodze i wśród tumanów kurzawy, mignął w dali hufiec zbrojny; przewodniczył mu na siwym tureckim koniu, mąż wspaniałéj wojennéj postawy.

Chłopiec spojrzał na niego ciekawie, a w miarę jak się zbliżał, zdumienie i nieokreślone jakieś wrażenia wybiły się na jego obliczu. Stał jak skamieniały nie spuszczając oczu z rycerza, który był już coraz bliżéj, aż wreszcie niby pociągnięty magnetyczną siłą, przykutego do siebie wzroku zatrzymał konia.

— Czy masz mi co powiedzieć, dziecię moje, rzekł po chwili z łagodnym uśmiechem.

Chłopiec jakby nagle zbudzony ze snu na te słowa, spojrzał błędnemi oczyma, lecz wnet oprzytomniał i twarz mu rozpromieniała dziwną jakąś jasnością. Przykląkł a podnosząc zwolna żelazną buławę, gestem pełnym uroczystéj powagi, podał ją wojownikowi mówiąc:

— Weźcie to miłościwy panie, co sam Bóg snać dla was przeznacza.

A mąż zdziwiony i rozweselony zarazem, odparł mu z lekkim odcieniem żartu w głosie.

— *Re vera* (prawdziwie) mój miły, niezasłużenie dajesz mi hetmańską buławę; są godniejsi odemnie w Rzeczypospolitéj, piastować ją po sławnym zgonie pana Kalinowskiego. Któż ci podał myśl podobną?

— Bóg i święci jego aniołowie, bo gdy was ujrzałem, wnet głos jakiś szepnął mi na ucho: to dla niego! a potém w miarę jak zbliżaliście się, tenże sam głos powtarzał: idź oddaj mu to, oddaj! nie wiedziałem co począć, aż tu zastanowiliście się i przemówili do mnie łaskawie.

— A zkądże to wziąłeś? mówił rycerz przypatrując się uważnie buławie.

— Wyorałem z ziemi, właśnie gdy nadjeżdżaliście.

— No kiedy tak, to dar twój przyjmujemy mile, ale weźże nawzajem gościńca, rzekł mąż wciskając w ręce chłopca woreczek pełen złota; spiął potém konia i oddalił się spiesznie nieczekając podzięki.

— Ot! to pani matka się ucieszy, rzekł chłopiec ochłonąwszy ze wzruszenia, przyglądając się błyszczącym przez jedwabną siatkę pieniędzom, mniejsza już o niedoorane zagony!...

W najwspanialszéj lwowskiéj gospodzie żyd arendarz wystrojony w odświętną jedwabną szatę, uwijał się po wszystkich zakątkach patrząc jak służba pańska wyprzątała gościnne izby. Zawieszono po ścianach tureckie makaty, podłogi wysypano wonnem tatarskiem zielem, a w miejsce drewnianych zydlów rozstawiono dębowe krzesła, kordybanem obite; widocznie że lada chwila miał nadjechać gość jakiś znakomity z resztą orszaku, którego część wysłał naprzód, zwyczajnie jak bywało w owych czasach, dla wyporządzenia mieszkania, które miał zajmować.

— Panie Abrahamie, ozwał się marszałek dworu, izby twoje wyglądają już jak królewskie komnaty i możesz się poszczycić, że w nich przyjmiesz jednego z największych dygnitarzy w Rzeczypospolitéj.

— Ach! panie Przygocki, odparł z udaną skromnością arendarz, wielki to zapewne honor dla mnie, ale nie poraz pierwszy już w tych ubogich ścianach witać będę dostojnika korony; a toż panowie okoliczni nigdy nie nawykli mię omijać, a i pan wojewoda krakowski nie po raz pierwszy pono moim gościem. Ale otóż i on, dodał wskazując kilku jezdzców ukazujących się w wązkiéj ulicy, spieszmy co prędzéj do bramy. Na te słowa wielki ruch powstał w gospodzie, dworscy uszykowali się z obu stron rozwartych podwoi, a Abrahamek stanął w pośrodku z aksamitną jarmułką w ręku, zginając się do ziemi w ukłonach, jak gdyby już był przed obliczem możnego pana.

— Ej! to przecież nie barwa Piławitów Potockich, jeno ludzi pana regimentarza koronnego Stanisława z Lanckorony, rzekł niechętnie pan Przygocki, byłoż się czemu spieszyć! Ale zdaje się, że i sam pan regimentarz jest z niemi.

Jakoż pan Lanckoroński zsiadł z konia, a spostrzegłszy dworzan wojewody, wnet zapytał czy pan krakowski jest już we Lwowie?

— Nie, lecz spodziewany co chwila, odrzekł pan Przygocki.

— Cieszę się, żem go uprzedził, tymczasem proszę waszmościów, abyście mi pozwolili pomieścić się wraz z sobą.

— Gospoda Abrahamka nie jest zbyt obszerną, lecz dla pana regimentarza koronnego trzeba znaleźć miejsce, odrzekł kwaśno pan Przygocki, który rozporządzał wszystkiem. Abrahamek zaręczał że pomieści wygodnie nowoprzybyłych i zaraz zajął się wyprzątaniem części własnego mieszkania, co z niejaką trudnością przyszło, gdyż Rachela młoda i piękna jego małżonka, ani słyszéć nie chciała o ścieśnieniu swego państwa i nie ustąpiła aż po długich ceregielach.

— Gdyby to jeszcze panowie jak wojewodzic bełski, pomrukiwała z cicha, co to i pięknych słówek i złota nie szczędzi, ale ci obaj, pewno i nie spojrzą na mnie!

— Spodziewam się, że wojewoda, mówił pan Lanckoroński do marszałka, rozgospodarowawszy się w przeznaczonéj mu izbie, rad mię obaczy, bo mu dobrą przynoszę nowinę.

— Trudno dziś coś podobnego posłyszéć, w uszach brzmią tylko opowiadania o zdrajcy Tymoszu, klęsce Batowskiéj i fatalnéj śmierci pana Kalinowskiego.

— Pan Kalinowski zginął chwalebnie, skoro za ojczyznę gardło dał, a gdy król jegomość wyznaczył godnego mu następcę, to idzie za tém nadzieja lepszéj przyszłości.

— A komuż to oddana buława jeżeli zapytać wolno?

Pan Lanckoroński chciał odpowiedziéć lecz mu przerwał Abrahamek wpadając zadyszany z okrzykiem.

— Pan wojewoda nadjeżdża!

Nie omylił się tą razą, bo wkrótce stanął przed gospodą orszak zbrojny, który miał na czele męża wspaniałéj wojennéj postawy, na siwym tureckim koniu.

— Pozwólcie sobie złożyć moje powolne służby, rzekł pan Lanckoroński gdy po pierwszem powitaniu weszli pospołu do gościnnéj izby, a zarazem spełnić poselstwo króla jegomości.

— Rad was witam i słucham pilnie, czegoby żądał odemnie pan nasz miłościwy?

— Wiadome wam sieroctwo wojska po stracie dzielnego wodza, otóż najjaśniejszy Jan Kazimierz pragnąc powetować tak ciężką stratę, w ręce wasze składa hetmańską buławę.

Pan Potocki cofnął się zdumiony, milczał a dziwne jakieś wrażenia malowały się na jego obliczu.

— Czyżbyście się wahać mieli w przyjęciu daru tego, rzekł po chwili pan regimentarz koronny.

— Jakkolwiek mniemam, że wiele znalazłoby się godniejszych odemnie, aby go otrzymać, sądzę jednak, że przy boskiéj pomocy zdołam odpowiedziéć zaufaniu narodu i króla, wieść ta jednakże przyszła w takiéj chwili, że snem mi się raczéj aniżeli prawdą wydaje. Na dojezdném do Lwowa, wieśniacze pacholę przepowiedziało ją niejako, ofiarując mi znalezioną w ziemi żelazną buławę, ztąd więc podziw mój, gdyż nie mogę wnioskować inaczéj, jak że proroczym duchem było natchnione.

— Tem ci lepiéj, gdy głos Boga łączy się z głosem narodu, nie powątpiewam teraz i chwili, że klęski i rany obecne ojczyzny, wkrótce potraficie zabliźnić, odparł radośnie Lanckoroński.

I nie omyliło go przeczucie. Stanisław Potocki zwany *Revera* od przysłowia, którego często używał, był mężem doświadczonéj dzielności w boju, wojna stanowiła jego żywot i pole działań. Zgromadził rozbite wojska pod Batowem i wkrótce pod Zbarażem i pod Zborowem powetował doznaną klęskę. A i późniéj téż niejednokrotne odniósł zwycięztwo nad nieprzyjacielem, jako to: pod Chocimem, pod Cudnowem, pod Lublinem i poskromiając Rakoczego. W ciągu żywota pełnego cnót i zasługi, uczestniczył w 48 bitwach, to téż gdy w Podhajcach legł złożony ostatnią chorobą, wyrzekł do otaczających: śmierci się nie lękam, bo dla Boga i ojczyzny nieraz jéj szukałem.

Niedługo przedtém, buławę szczerozłotą drogiemi sadzoną kamieniami, zawiesił w Częstochowie, raz aby świadczyła tamże o wdzięczności jego za niejednokrotnie doznaną opiekę Najświętszéj Panny, powtóre zaś aby była pamiątką żelaznéj buławy, która mu się stała przepowiednią piastowanego późniéj dostojeństwa.

*A. z Ch. Borkowska.*

---

## Wiadomości Literackie.

*Le monde de la mer, par A. Fredol illustré de 22 planches coloriées de 14 planches noires et de 320 vignettes, un grand volume 30 fr.*

Książka ta świeżo wyszła na widok publiczny, używa wielkiego powodzenia zarówno z powodu niezmiernie ozdobnego wydania jak bogactwa treści. Rozwija ona przed naszemi oczyma tajemniczy świat podwodny, pełen zjawisk godnych zwrócić uwagę badacza przyrody. Wiele z owych dziwów pokrytych jest jeszcze mgłą nieprzejrzaną przez oko ludzkie, a codziennie nowe na tém polu odkrycia, okazują zawsze doskonałą harmonię istniejącą we wszystkich dziełach Stwórcy. Książka pana Fredol należy do liczby tych, które zajmą zarówno specjalistów, jak ludzi niepoświęcających się wyłącznie nauce, świetny i ożywiony styl, powiększa jeszcze jej wartość. W obecnéj porze szczególniéj, gdzie tak modnie jest miéć u siebie *aquarium* (sadzawkę napełnioną żyjątkami wodnemi), *świat morski* wielką znajduje liczbę czytelników, którzy chcą porównać opisy autora z własnemi w tym przedmiocie doświadczeniami.

*La science populaire par Ramboisson.*

W dziele tem, autor obok nowszych odkryć w dziedzinie nauki, wskazuje jasno ich rzeczywistą wartość. Jest to doskonały sposób uczynienia nauki przystępną i ponętną dla ogółu, oraz walczenia z uprzedzeniami ciemnoty. Nie mniéj tu zajmujące jest urozmaicenie przedmiotów, i tak np. z powodu opowiadania

o dziwnych własnościach magnesu, mamy przytoczoną całą historję igły magnesowéj, od jéj wynalezienia aż do dzisiejszych czasów, mówiąc o wypadkach piorunowych, opowiada p. Ramboisson postępy meteorologji, chemji zaś. wspominając o kurarze (*curare*) i innych truciznach. Książka ta jeszcze zasługuje na uwagę i pochwałę z tego względu, że autor niepodziela wyobrażeń materjalistów, i nie zapatruje się na rzeczy wedle ich sposobu widzenia.

*L'année géographique par Vivien de Saint Martin.*

Jest to zajmujące wielce sprawozdanie ze wszystkich nowych odkryć i podróży odbytych w roku zeszłym. Afryka była szczególniéj polem badań podróżników. Odkryli tam jedno z największych znanych dotąd jezior i nazwali go *Albert Nyanza*. Trzy holenderki zamierzyły zbadać wybrzeża wyższego Nilu, lecz ten zamiar w części tylko został spełniony z powodu choroby i śmierci kilku osób należących do wyprawy. Abissynia, Nubja, Egipt i Senegal były także przedmiotem bliższych badań, równie jak Kaukaz, Chiny i Japonia.

*Quatre femmes au temps de la révolution, par l'auteur des souvenirs de Mme Récamier.*

Są to życiorysy Marji Antoniny, pani Roland, Karoliny Corday i pani de Montaigu; autor odmalował te cztery odmienne zupełnie charaktery z wielkim wdziękiem i trafnością i jakkolwiek nie znajdziemy w niéj żadnych nowych szczegółów, książka ta z zajęciem być może czytaną.

*O zabytkach Kruszwicy, Gniezna i Krakowa, oraz Trzemeszna, Rogoźna, Kryni, Dobieszewka etc. etc.*

Sprawozdania i studja Józefa Łepkowskiego wydane w tym roku w Krakowie. Książka ta powinna być w ręku wszystkich, w taki sposób bowiem jest napisana, że nietylko badacze przeszłości, ale cały ukształcony ogół znajdzie w niéj zajmujący obraz pamiątek szacownych Nie suchy to opis, lecz wieje zeń to ciepło uczucia, które w jedno ogniwo serdecznéj czci dla wspaniałéj i pięknéj przeszłości, autora z czytelnikiem zespala.

---

# DZIEWIC-WIECZÓR.

## Powieść J. D. H. Temme, przełożona z niemieckiego.

(*Dokończenie*).

— Panie! jak się pan nazywasz? spytałem.

— Przecież pan sam nazwałeś mnie baronem Föhrenbach.

— Czy zawsześ się pan tak nazywał?

— Nikt mnie nigdy inaczéj nienazywał.

— Czy znasz pan sędziego kryminalnego Heitmann w L.?

Wymieniłem mu nazwisko mego przyjaciela któren cztéry lata temu, prowadził nad nim śledztwo o zabicie handlarza bydła i w którego obecności, odwiedziłem go w jego więzieniu. Mógł i musiał być przygotowanym na te pytanie, od momentu, jak zażądałem pomówić z nim na osobności; a jednak, na tak raptowne zagadnienie, zmieszał się, zmienił na twarzy i spuścił oczy.

— Sę...dzie...go kry...mi...nal...ne ..go Heit...-mann? zapytał zwlekając, jakby się namyślał. Już miałem przewagę nad nim, z któréj w obec tego zuchwałego i zręcznego człowieka, podwójnie postanowiłem skorzystać.

— Panie, rzekłem, nie dając mu czasu do namysłu, dla czego moje pytanie pana zmieszało?

— Zmie...szało? odrzekł starając się oprzytomnieć.

— Tak jest. Cóżby to było innego, kiedyś się pan zamyślił nad nazwiskiem człowieka, któren panu od czterech lat, ani na jedną chwilę z pamięci nie wyszedł?

Takim zwrotem opanowałem go zupełnie. Mógł mi odpowiedzieć po prostu, że niemiał i nadal niema ochoty odpowiadać na moje pytania. W takim razie, przynajmniéj na dziś wieczór miałbym trudną przeprawę, a może musiałbym dać całkiem za wygranę.

— Rzeczywiście, nie mogłem sobie zrazu przypomnieć, odpowiedział.

— Więc pan teraz już pamiętasz? spytałem podchwytując.

— Tak.

Jednocześnie, wymawiając to słowo, ogień gniewu wybuchł na jego twarzy, gniewu, na siebie, na mnie, że tak wpadł w zastawioną pułapkę. Jedno to słowo „Tak“ przywiodło go do przytomności, ale już się nie mógł cofnąć.

— A teraz, dodałem prędko, przypomnisz pan sobie zapewne i nazwisko handlarza bydła, za zabicie którego byłeś pan wtedy aresztowany i pociągniony do śledztwa?

— Tak, odrzekł znowu z trudnością, wstrzymując swój gniew.

— Jakżeż się on nazywał?

Umyślnie bawiłem się z nim w zapytania, żeby mu okazać, całą moją przewagę nad nim. Wymówił nazwisko handlarza.

— A teraz, mój panie Föhrenhach, rzekłem podnosząc głos, zechcesz sobie przypomnieć nazwisko, któreś przedtém nosił.

Jego długo hamowany gniew, wybuchł nareszcie. Z kolei, on zadał mnie pytanie, którego na początku, obawiałem się, następnie spodziewałem się, a teraz pogardliwy mój uśmiech tylko wywołało. Miałem go całkiem w méj mocy,tak za pierwszą jak i za drugą zbrodnię.

— Panie, rzekł on, co pana upoważnia do badania mnie?

— Moje stanowisko, jako sędzia kryminalny, spodziewam się, odrzekłem spokojnie.

— Możesz pan sobie być tutaj, odrzekł on szyderczo, sędzią kryminalnym, nie jesteś nim wszelako względem sprawy, która się toczyła o sto pięćdziesiąt mil ztąd, a do tego już dawno skończonéj.

Na to odpowiedziałem mu spokojnie i z flegmą.

— Jesteś pan podwójnie w błędzie, mój panie Föhrenbach, bo póty będę pana tak nazywał, póki nie raczysz wymienić swego prawdziwego nazwiska; najprzód, sądzisz pan, że tamte poszukiwania są już ukończone, wtedy, kiedy w skutek swoich wybiegów, jesteś tylko tymczasowo uwolniony. To znaczy, innemi słowami, że śledztwo względem pana, jest tylko w zawieszeniu; aż póki nowe jakie podejrzenia nie dadzą nam nowych środków do wznowienia go, a wtedy, z prawa może i musi być ono daléj prowadzoném w każdéj chwili i na każdem miejscu.

Nic na to nieodpowiedział, stał tylko spokojnie, patrząc na mnie wzrokiem badawczym, ja zaś, tonem chłodnym i sucho, tak daléj mówiłem:

— Powtóre, myślisz pan, że to śledztwo, i w tém miejscu do mnie nie należy? W takim razie, do czegóżby się zdało każde śledztwo, czy to nowe, czy stare? Wiedzżeż mój panie, że każden sędzia, w jakiéjbądź stronie naszego państwa, ma nietylko prawo ale i obowiązek, używać różnych środków i wskazówek, któreby do rozpoczęcia natychmiastowego, jak my to nazywamy, lub do dalszego prowadzenia śledztwa na miejscu, posłużyć mogły! I tak: zacząłeś pan od wyznania, że byłeś pod śledztwem za zabicie handlarza. Wiadomem mi jest, że pana tymczasowo uwolniono. Może zechcesz pan temu zaprzeczyć?

Nic nie odpowiadał.

— Dobrze! Powtarzam zatém, że pana za tę zbrodnię, nie mając prawem określonych dowodów, tymczasowo tylko uwolniono. Ja zaś dnia dzisiejszego i w tém miejscu, zebrawszy nowe dowody i podejrzenia, aresztuję pana. Jesteś od téj chwili moim więźniem, baronie Föhrenbach.

Zbladł i zadrżał, ja zaś musiałem bez najmniejszéj zwłoki dalej prowadzić raz zaczęte dzieło. Jakkolwiek moje postępowanie było prawném, jednakże trzymałem się raczéj ducha niżeli litery prawa, gdyż wszystkie moje podejrzenia dotąd zebrane, opierały się jedynie na psychologicznych objawach. Nie traciłem jednak nadziei, nadać im lada chwila więcéj dotykalną postawę.

Gdybym w tym momencie poszedł do pana Bertossa, byłbym najgorszym inkwirentem, chociażbym nawet i powziął wiadomość, jeśli nie o saméj zbrodni, to o okolicznościach jéj towarzyszących, a które zawsze są największéj wagi. Trzeba było czekać cierpliwie, rozpocząłem grę, któréj pomyślnego końca z pewnością nie przewidywałem. a jednak pewność w całém mojém działaniu w téj sprawie, była mi niezbędną.

Jeszcze jednę zbrodnię miałem przed sobą; zabójstwo nad granicą. Tu już nie same tylko przypuszczenia, ale ważne przyczyny, potwierdzały moje podejrzenie. W takich razach, cel uświęcał każden prawny środek; chociażby tylko sama forma prawa była zachowaną; zwłaszcza w obec zbrodniarza, któren swoje oswobodzenie zawdzięczał jedynie bezczelnemu zuchwalstwu i przebiegłości. Byłem więc spokojny na sumieniu, i jako człowiek i jako prawnik, a odemknąwszy z pośpiechem drzwi, zawołałem:

— Grzegorzu! na dworze czeka żandarm, przyprowadź go tu.

— Zaraz panie.

Spojrzałem znowu na pana Föhrenbacha, przecież jego prawdziwego nazwiska dotychczas nie wiedziałem; stał blady, poznał widać swoje położenie i jeszcze niezdecydował, jak się ma nadal zachować, lub co przedsięwziąć; rzucał tylko niepewny wzrok po pokoju, to znowu spoglądał powątpiewająco na mnie. Ja nie mając prawa odzywać się więcéj do niego, przechadzałem się milcząc.

Jeżeliby i było co więcéj z niego do wybadania, powinien był to sam z siebie objawić. Moja znajomość ludzi, ma się rozumieć zbrodniarzy, powiadała mi, że to musi nastąpić.

Tymczasem układałem sobie dalszy plan mego postępowania. Pana Föhrenbacha, mego więźnia, osobliwie jeszcze takiego jak on, nim odstawię do więzienia i oddam pod sąd kryminalny, powinienem mieć ciągle na oku, pod moim bezpośrednim nadzorem, musiałem go więc zabrać z sobą nad obcą granicę, gdzie mnie mieli zdać ciało zabitego; jednocześnie mogłem przykazać dowiadywać się, czy pan Föhrenbach z niedzieli na poniedziałek krążył w téj okolicy, i tamże sprowadzić na świadka Joes Lubatisa.

Nie wiedziałem jeszcze jak mam rozpocząć z panem Bertossa, gdy w tém Föhrenbach podszedł do mnie i zapytał stanowczo:

— Czy to pan na serjo każesz mnie aresztować?

— Bezwątpienia, jesteś pan od téj chwili moim więźniem.

— Oho! mój panie! obaczymy kto z nas dwóch silniejszy.

Jakkolwiek wysokiego wzrostu i mocno zbudowany, nie zdawał się on być bardzo silnym; jednakże przypomniałem sobie w tym momencie, że na przeniesienie zabitego człowieka za granicę, ktorego widocznie nie ciągniono po ziemi, potrzeba było niezwykłéj siły.

— Obaczymy, odpowiedziałem spokojnie. Zresztą, gdyby do tego przyszło, na mój rozkaz sto rąk stanęłoby mi w pomoc, a na wszelki przypadek....

Tu wyjąłem z za surduta krucicę, którą zawsze w podróży miałem przy sobie. Uspokoił się.

— Czy mogę pana zapytać, co pan myśli daléj ze mną robić?

— Co? każę pana odstawić do więzienia kryminalistów.

— Dzisiaj?

— Tak jest, pojedziesz pan jeszcze téj nocy.

— A wiesz pan, że to będzie osobliwsze przerwanie dzisiejszéj uroczystości.

— Cóż robić, ale tak będzie.

— Pozwól pan siebie jeszcze zapytać, co będzie z panem.... z panem Bertossa, a ponieważ panu wiadome i jego nazwisko, raczéj z baronem Grafenbergiem?

Grafenberg! baron Grafenberg! tak rzeczywiście, mam nareszcie tak długo w mojéj pamięci zatracone nazwisko tego obywatela, któren w sprawie o zabicie handlarza, stawał jako świadek, a jako zabójca był podejrzany. W tym momencie przypomniałem sobie nazwisko, którego z takiém wysileniem napróżno szukałem w mojéj pamięci, stojącego przedemną barona Föhrenbacha; nazywał się on Teobald von Freising. Nie powtórzyłem go jednak głośno, ponieważ mu zapowiedziałem, że mi je sam wymienić musi.

— Tak jest mój panie, to jest prawdziwe nazwisko pana Bertossa; może mi pan teraz powie i swoje prawdziwe nazwisko?

— Do czegóżby to się zdało, kiedy je pan wiesz doskonale. Jeżeli zaś mogę przez to zrobić panu jaką przyjemność; to masz pan, nazywam się Teobald von Freising.

— I to prawda, tak jest, Teobald von Freising. Wracając do pańskiego zapytania, zgodzisz się pan, że sędzia kryminalny nie ma prawa odpowiadać na podobne pytania.

— To ja sam mogę panu na nie odpowiedzieć, rzekł on prędko.

— Byłoby to zbyteczném.

— Może niezupełnie. Mój panie, kiedy pan mnie aresztujesz, powinieneś pan także aresztować i barona Grafenberga.

— A potém?

— A potém, panie....

Wstrzymał się; jakaś myśl rozpaczliwa, którą zaraz przytłumił, przebiegła mu przez głowę.

— Potém; pokaże się, dodał spokojnie.

Nic mu na to nie odpowiedziałem. Wszedł żandarm.

— Masz pilnować tego pana, jest on więźniem, za którego odpowiesz mi głową.

— Dobrze panie.

Wyszedłem z pokoju, na dworze czekał furman.

— Grzegorzu, czy nie widziałeś obok żandarma pana Holma?

— Stali razem, panie.

— Poproś go do mnie i przyprowadź pod główne wejście tego domu. Daléj, pamiętaj, żebyś o wszystkiem coś tu widział i słyszał, nikomu nic nie opowiadał.

— Bądź pan spokojny, przed nikim ani słowa nie pisnę.

Odszedł. Udałem się pod główne drzwi domu, w kilka minut nadszedł Holm i Grzegorz.

— Poproś do mnie pana poborcę, rzekłem ostatniemu, a gdy już odszedł, panie Holm, rzekłem, trzeba żeby Joes Lubatis był jutro rano, o wschodzie słońca w Miszlukach.

Tak się nazywała wieś, gdziem porzucił moich urzędników.

— Zaraz ztąd pojadę po niego, panie sędzio.

— Właśnie chciałem pana o to prosić.

A gdy ten się oddalił, nadszedł poborca.

— Przyjacielu, czy nie pozwoliłbyś mnie swego powozu, pod moje wyłączne rozporządzenie?

— Dokąd?

— Do Miszluk, gdzieśmy się spotkali.

— Jakto bezemnie?

— Dla ciebie mam inną misję.

— Ach! chcesz mnie zrobić swoim ajentem?

— Chciałem cię tylko prosić, żebyś pojechał do miasteczka, konno; konia ci zapewne tutaj nie odmówią, i dowiész się, czy baron Föhrenbach przepędził tam noc z niedzieli na poniedziałek. Wszak zrobisz to?

— Ruszam w ten moment.

— Wiadomość tę, będziesz łaskaw przywieść mi jeszcze téj nocy do Miszluk.

— Dobrze, ale powiedz mi co się tu stało?

— Dowiesz się o tém w Miszlukach. Jeszcze jedno, czy nie odstępowałeś Bertossów?

— Nie odchodziłem od nich ani na krok.

— Cóż oni porabiają?

— Od momentu jakeś wyszedł, oboje ani słowa nie przemówili.

— Ze strachu o syna?

— Był tam w gruncie inny jeszcze strach, większy. Tak.... tak.... przyjacielu.... powiadam, że daleko większy.... ta zbrodnia!... musi i żona o niéj wiedziéć?

— Jakto, oboje więc są przygnębieni?

— Oboje!

— A gdybym teraz prosto poszedł do niego i rzekł mu: panie, jesteś zabójcą handlarza bydła; jak myślisz, czy przyznałby się? A może żona wydałaby własnego męża?

— Człowieku! krzyknął poborca, alboś zmysły postradał, alboś ty szatan wcielony!

— Jestem sędzią kryminalnym.

— Wielki Boże! jakiż to okropny dziewicwieczór! I tybyś naprawdę chciał pójść w téj chwili do nich?

— Ruszaj sobie prędzéj dokąd mi obiecałeś.

— O mój Boże! ileż to razy przeklinałem młynarzów i młyny, rzeźników i jatki i wszystkie komory celne; ale teraz widzę, że stanowisko sędziego kryminalnego, daleko gorsze od mojego.

Poczem poszedł do stajni postarać się o konia. Już stałem u drzwi wchodowych w najciemniejszym kącie podwórza; wszystkie okna domu były rzęsisto oświetlone, z ogrodu dolatywał dźwięk wesołéj muzyki.

Tylko co miałem wejść do pokoju, gdy w tém nad moją głową otworzyło się jedno z tych oświeconych okien i ktoś zawołał silnym głosem: Powietrza! powietrza! bo się uduszę! był to głos pana Bertossa czyli barona Grafenberga.

— Wszystko przepadło, mówił daléj ten nieszczęśliwy człowiek, zbliża się zapłata, zbliża się kara! wszakżeż to wszystko jedno!

Płaczący głos kobiecy odezwał się obok niego.

— Alfredzie! Alfredzie! bądź mężnym! błagała nieszczęsna żona.

— Mężnym!? mężnym!? kiedy piekło otwiera swoją paszczę, by nas pochłonąć!

Kobiéta zaczęła głośniéj płakać, w tém otworzyły się nagle drzwi od pokoju.

— Matko ja umieram! zawołał rozdzierająco trzeci głos.

Słyszałem już go raz, jak te same wymawiał słowa. Lecz tą razą matka nieodpowiedziała: „chciałabym umrzéć z tobą razem, moje dziecko.“ Za to ojciec odparł przytłumionym głosem: My wszyscy pomrzemy.

Matka i córka płakały.

W ogrodzie tymczasem grzmiała muzyka jeszcze głośniéj i jeszcze weseléj, wesołe głosy biesiadników mieszały się z brzękiem szklanek.

Na małéj wieżyczce domu wybiła północ.

Czy mam pójść do tych trojga ludzi? pomyślałem, przecież oni nie ujdą swego losu. Powróciłem więc do pokoju, w którym zostawiłem pana Freising.

— Chodź za mną i prowadź z sobą więźnia, rzekłem do żandarma.

U wyjścia stał stary furman Grzegorz.

— Powiedz swoim panom, że ja ich żegnam.

— Więcéj niema pan nic do rozkazania?

— Możesz sobie teraz rozpowiedziéć wszystko coś widział.

Opuściłem nareszcie ten dom nieszczęsny, oświecone okno jeszcze otwarte było; w ogrodzie jeszcze trwała wesołość i tańce.

Poszliśmy do karczmy, żeby ztamtąd udać się powozem poborcy nad granicę, do Miszluk.

VI.

Już dniało jak przybyliśmy do Miszluk. Ciemna noc, małe zapotniałe okna w powozie, nie dozwalały rozpoznać okolicy, którąśmy przejeżdżali. Memu więźniowi niczem nie dałem poznać dokąd go wiozę; był zatem pewnym że go odwożę do więzienia. Myśli jego musiały być zajęte zbrodnią wykonaną przed czterema laty, siedział więc spokojnie obok mnie, nieodzywając się ani słowa. Ja również milczałem. Żandarm jechał konno koło powozu.

Tak przybyliśmy do Miszluk. Pierwszy brzask pokazał się ną horyzoncie, kiedy furman zatrzymał konie we wsi przed karczmą. Więzień spojrzał w odemknięte okno, poznał wieś, poznał karczmę i zdziwił się. Potém zwrócił wzrok badawczy na mnie i śmiertelna bladość pokryła jego lica. O pół mili od Miszluk było miejsce zbrodni.

Pokazało się, żem wygrał sprawę, którą tak śmiało rozpocząłem.

— Wysiądź pan, rzekłem do niego.

Ale jego nogi tak się trzęsły, że nie był w stanie wysiąść z powozu.

— Żandarmie, pomóż wysiąść więźniowi.

Żandarm pomagając mu wysiadać, zdziwił się sam, widząc tego mężczyznę tak silnego i barczystego, jak się trzęsąc opierał na jego ramieniu, a gdy ten odjął mu swoją rękę, mało nie przysiadł na ziemię.

Przewidywałem prędki koniec.

Odejmijmy człowiekowi, nieposiadającemu moralnéj podstawy, jego siłę i odwagę fizyczną, a ujrzemy całą jego nicość.

Holm czekał już na mnie w karczmie z przemytnikiem Joes Lubatisem; żołnierz z granicznéj straży czekał także, by mnie przeprowadzić do przyjęcia ciała.

Więzień nie widział ani jednego ani drugiego, ponieważ go kazałem odprowadzić przez żandarma do osobnego pokoju.

Zacząłem od badania przemytnika; ten opowiedział mnie słowo w słowo co już od Holma słyszałem, tojest, że najdokładniéj poznał barona Föhrenbacha.

Tymczasem nadjechał poborca. Musiał prędko jechać.

Pokazało się, że Föhrenbach, tak go wszyscy nazywali, nie nocował z niedzieli na poniedziałek w mieście. Widziano go w niedzielę po południu, jak z wielkim pośpiechem załatwił wszystkie interesa i ku wieczorowi odjechał.

Teraz wszystko zależało od tego, czy zabity okaże się rzeczywiście Ulrykiem Bertossa, albo baronem Grafenbergiem, jak się aktualnie nazywał. Kazałem ruszać ku granicy. Więzień musiał być obecnym przy tym akcie, dla tego zabrałem go z sobą do mego powozu. Poborca miał jechać w swoim powozie z Holmem, ponieważ obydwóch potrzebowałem do rozpoznania tego ciała. Żandarm i żołnierz mieli jechać konno przed nami.

Dobrze już rozwidniało, ranek był ciepły i pogodny, kazałem więc spuścić fordekel u mego powozu. Więzień który przez cały ten czas zostawał w towarzystwie żandarma, nie mógł

wiedzieć cośmy tymczasem zrobili i jakich środków użyli. Już prawie ochłonął z pierwszego wrażenia, chociaż twarz jego nie straciła sinéj barwy. Chciał jeszcze obejrzéć się po okolicy, gdy żandarm go podprowadził. W tem obaczył obcego żołnierza i powóz zwrócony ku granicy.

Cała jego energia znikła i z trudnością wsiadł do powozu.

Odjechaliśmy. Cały czas siedział spokojnie i milczał.

Dojechaliśmy do granicy i zatrzymaliśmy się przy kordonie. Pozwoliłem mu wysiąść.

Raptem odskoczył tak przerażony, że musiał schwycić się za powóz żeby nie upaść.

Już było po nim. Widziałem dobrze co go tak ubodło.

Obcy urzędnicy przywieźli z sobą ciało, które miało mi być wydane. Zabity leżał na marach przed kordonem, tak samo jak go znaleziono i więzień go obaczył; obaczył jego martwe rysy, jego rozbitą czaszkę i zakrwawione odzienie.

— Czy znasz pan tego człowieka? spytałem. Były to pierwsze słowa, które od wyjazdu naszego z Kalwellen, przemówiłem do niego.

— Znam, odpowiedział głosem stłumionym.

— Któż to taki?

— Ulryk Bertosa.

— Któż jest jego mordercą?

Nie był w stanie mi odpowiedzieć. Ja musiałem korzystać z tego wrażenia.

— Zbliż się pan ze mną do tego trupa.

Ledwo przyczołgał się, trzymając się za mnie.

— Kto jest jego mordercą? spytałem poraz drugi.

— Wtedy zakrył twarz swoją rękami.

— Tyś nim jest! zawołałem.

Wedle porządku sądu kryminalnego, nie powinienem był tak się odezwać; prawa krajowe mają różne przepisy i nie są one najgorsze. Jednak zmuszony byłem tak powiedziéć. Co znaczą wszystkie martwe litery prawa, w obec żywego prawa pojedynczych wypadków?

— O mój Boże! o mój Boże! zawołał załamując ręce.

Powinność nakazywała mi, moje badania daléj prowadzić; ale cóż było robić z obcym urzędnikiem?

Podszedł do mnie i rzekł.

— Panie, czy mogę prosić o przyjęcie tego ciała i o wydanie mi protokułu?

— Ależ panie, w téj chwili!

Mocno żałuję, ale ja też nie mam ani jednéj chwili do stracenia.

— Kiedy ja obecnie nie jestem w stanie.

— Co dla pana jest niemożebnem teraz, jest również dla mnie później. Przyjmiesz pan to ciało natychmiast, albo nie będziesz go pan miał nigdy.

Cóż było robić? musiałem uledz; przerwać moje badania, przyjąć ciało i spisać protokół.

To wszystko wymagało dużo formalności i zabierało dużo czasu.

Więźnia kazałem tymczasem żandarmowi odprowadzić do straży kordonnéj, a po ukończeniu, chciałem go znowu przyprowadzić do trupa.

Musieliśmy zwrócić się nazad przez granicę, dla spisania wszystkich śladów zabójstwa i dla tego byłem tak nieostrożny, a żandarm jeszcze więcéj.

Gdym powrócił, wyszedł naprzeciw mnie ze straży z miną zafrasowaną.

— Panie radco! więzień powiesił się! Ja tylko na moment oddaliłem się, zostawując go tutejszéj straży, on wcisnął się w najciaśniejszy kąt izby, zkąd żadną miarą niemógłby uciec, oni nie zwracali na niego uwagi, a kiedy ja powróciłem, już nie żył!

Tak było w istocie. Kazałem w ten moment cucić go różnemi sposobami, ale napróżno. Moja czynność skończyła się, nie było już co więcéj robić.

Zostawiłem obcym wisielca, a ciało biednego Ulryka oddałem jego przyjacielowi Holmowi.

Z tym powróciłem nazad przez granicę.

Spodziewałem się jeszcze wprawdzie roboty, a jednak pokazało się, że moja czynność skończona.

Baron Grafenberg był podejrzany o wspólnictwo zbrodni przed czterema laty, musiałem go tedy aresztować; tak mi nakazywał mój obowiązek, a więc pojechałem do Kalwellen.

Już się tu nie bawiono, pozostały tylko w ogrodzie ślady wczorajszéj wesołości.

Dom stał spokojny, jakby w nim wszyscy powymierali. Spytałem o samego pana, odpowiedziano mi, że téj nocy wyjechał. Kazałem się zaprowadzić do pani Bertossa, która mnie kazała prosić do pokoju.

— Pan szukasz mego męża? Nie ma go tu, nie ma go i w Prusach, ani na stałym lądzie; w téj chwili musi on być już na okręcie; próżnobyś go pan kazał gonić.

Miała racyę, byliśmy niedaleko morza.

— Ale mój syn? spytała.

W téj chwili wszedł Holm do pokoju ze zwieszoną głową.

— Ulryk nie żyje!? zawołała.

— Tak jest, nie żyje, odpowiedział jéj smutno.

Wyszedłem pocichu, i tu nie miałem już więcéj co robić.

Żona wkrótce opuściła także Kalwellen, nieszczęśliwa pojechała za mężem.

Wprzódy jednak wydała córkę za Holma; wesele odbyło się cicho, niepoprzedzone już hucznym *Dziewic wieczorem!*

# Dodatek do Zeszytu XIV Kółka Domowego.

---

## Medaliony szydełkowe naśladujące koronkę Cluny

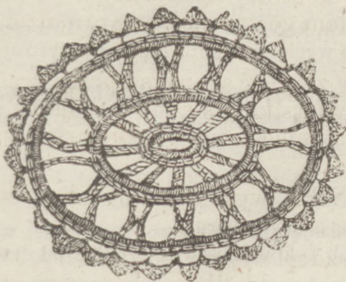


Fig. 1.

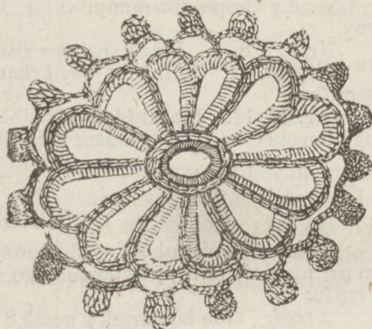


Fig. 2.

Kilkakrotnie podawaliśmy na wzorach naszych kołnierzyki i rękawki, które miały wstawione medaliony koronkowe, dziś podajemy na ten użytek medaliony szydełkowe z bardzo cienkich nici.

*Medalion* 1*szy*. Zrób łańcuszek o 7 oczkach i połącz go. 1 *rzęd*: na 7 oczkach zrób 12 małych matowych oczek.

2 *rzęd*: 1 słupek długi; otrzymasz go przez zakręcenie dwa razy nitki naokoło szydełka, potém 3 oczka łańcuszkowe, znów 1 słupek długi. 3 łańcuszkowe, 1 słupek długi, 3 łańcuszkowe, 1 słupek mały, 3 łańcuszkowe, drugi i trzeci mały słupek z odstępem 3 łańcuszkowych następnie 3 długie i jeszcze 3 małe, tym sposobem medalion będzie miał kształt owalny.

3 *rzęd*: zrób 66 oczek matowych na całym obwodzie.

4 *rzęd*: 5 oczek łańcuszkowych; omiń jedno oczko poprzedzającego rzędu i przyczep * zrób 3 matowe małe i znów łańcuszek o pięciu oczkach przyczep * powtórz od gwiazdki do gwiazdki.

5 *rzęd*: włóż szydełko w środkowe z pięciu oczek łańcuszkowych, zrób słupek mały, 2 łańcuszkowe i drugi słupek mały na tem samém oczku, 3 łańcuszkowe 1 słupek, w następnym środkowym z pięciu 2 oczka łańcuszkowe, drugi słupek na tym samym i tak dalej naokoło.

6 *rzęd*: przerób naokoło oczkami matowemi.

7 *i ostatni rzęd ząbkowy*: zrób łańcuszek oczek 4, na dwóch środkowych dwa matowe potém jedno łańcuszkowe i przyczep ominąwszy 3 oczka poprzedzającego rzędu.

*Medalion* 2*gi*. Zrób łańcuszek o 17 oczkach, złącz.

1 *rzęd*: na tem kółeczku zrób 24 oczek matowych

2 *rzęd*: zrób łańcuszek oczek z 18 na nim tyleż oczek małych matowych i tym sposobem wrócisz z nitką i szydełkiem do kółka; na następnem oczku zrób łańcuszek o 17 oczkach przyczep do dziewiątego oczka łańcuszkowego licząc od góry, będziesz miała łuk jak na rysunku, wróć z nitką i szydełkiem do kółeczka robiąc oczka matowe na następnym, znów łańcuszek o 15 oczkach przyczep do dziewiątego i wróć z nitką potem łańcuszek o 15 oczkach, o 17 oczkach, znów o 18 czepiając zawsze z dziewiątym i tak dalej na około a będziesz miała medalion owalny, ostatni łańcuszek o 17 oczkach złącz z pierwszym.

3 *rzęd*: zrób łańcuszek z oczek 7, złącz ostatnie z trzeciem, znów łańcuszek oczek 4 i przyczep do poprzedzającego rzędu opuściwszy 2 oczka, następnie łańcuszek o 7 oczkach złącz ostatnie z trzeciem 4 łańcuszkowe przyczep do drugiego łuku i tak dalej dokoła.

---

## Objaśnienie ryciny mód.

Nr. 1. Paletocik i spódniczka z alpagi prążkowanéj biało na tle popielatém; wystrój z tegoż samego materjału obejmowany czarną aksamitką.

Nr. 2. Spódniczka szafirowa *poult de soie*, wystrój z czarnéj pasmanterji takąż pasmanterją ubrany czarny jedwabny paletocik.

Nr. 3. Suknia z wełnianego fioletowego kaszmiru; przód ubrany czarną pasmante-

rją. Mantylka czarna jedwabna, któréj forma wycinana z papieru dołączona była do poprzedniego poszytu.

Nr. 4. Spódniczka i paletocik dla małéj dziewczynki z popielatego wełnianego fularu, ubranie z falbaneczki z tegoż materjału i fiołetowego *poult de soie*.

Nr. 5. Czepeczek ranny, biały bengalowy, ubrany czarną aksamitką z koronką Cluny.

Nr. 6, 7, 8, 9. Dwa kapelusze zwane *Fanchon*, kapelusz *Pamela* i kapelusz *empire*.

Nr. 10, 11. Kołnierze czyli kanzuciki do wyciętéj sukni z gipiury przystrojonéj aksamitką.

Nr. 12, 13. Bluzki białe muślinowe, pierwsza przybrana wstążkami i koroneczką druga koroneczką i dzierganiem przewleczonem czarną aksamitką.

---

## SPROSTOWANIE.

Ponieważ opis roboty szydełkowéj w poprzedzającym umieszczony poszycie, wydał nam się nie dość jasny, powtarzamy go tu w sposób dokładniejszy zaczynając od drugiego rzędu:

2 *rzęd*: zrób łańcuszek z oczek 8 * przyczep do szóstego poprzedzającego oczka, zrób łańcuszek z oczek 3 przyczep do następnego i znów łańcuszek z oczek 8 powtórz * od gwiazdki do gwiazdki

3 *rzęd*: * przyczep do czwartego łańcuszkowego oczka poprzedzającego rzędu, zrób łańcuszek z oczek 3 przyczep do następnego oczka, znów łańcuszek oczek 8 powtórz *

4 *rzęd*: jak trzeci i tym sposobem rób tyle rzędów ile ci potrzeba szerokości, zwykle do alb robi się oszycie 5 łokci długie a pół łokcia szerokie; ostatni rzęd rób następującym sposobem: opuść oczko pierwsze zrób 3 słupki potém 5 oczka łańcuszkowe i znów 3 słupki i jeszcze * 3 słupki na następnych 8 oczkach 3 łańcuszkowe 3 słupki powtórz *.

---

## O UBIORACH.

Zwiedziliśmy w tych dniach znaną oddawna pracownię pod nazwą świętéj Marty, któréj założycielka umiejętnie wprowadziła w wykonanie myśl prawdziwie piękną i pobożną, aby wspomagać ubogich w sposób podnoszący ich moralną godność, podając im możność zapracowania na chleb powszedni. Mnóstwo biednych robotnic znajduje tu sposób zarobkowania, ubogie zaś małe dziewczątka, uczą się pracy, która kiedyś dopomoże im do utrzymania rodziny. A taki tam ład w rozkładzie robót, taki wzorowy porządek w utrzymaniu rachunkowości, że nie jeden czysto przemysłowy zakład mógłby się podobnym poszczycić. Wszystkie roboty składające dział bielizny (*lingerie*) są tu wykonywane z wielką starannością i prawdziwie dobrym smakiem, ceny ich zaś niezmiernie umiarkowane. Na poparcie tych słów podamy je tu w krótkości. I tak np. koszul męzkich gotowych z dobrego płótna można dostać po rs. trzy, kobiecych zaś po rs. 2 kop. 25. Ma się rozumieć że są i droższe, na różne ceny (męzkie do rs. 5), stosownie do wypracowania i gatunku płótna, równie jak jeszcze tańsze, dla ludzi służebnych (od rs. 1 kop. 20) z grubego lecz białego płótna i bardzo porządnie uszyte; zakład bowiem mając rozmaicie uzdatnione robotnice, zatrudniać je musi mniéj lub więcéj wykwintną pracą. Koszule kobiece bardzo pięknie wypracowane, z medalionami i wstawkami z koronki, zwanéj *Valencienne*, dochodzą do rs 12. Są to bezwątpienia przedmioty zbytku, nie idzie jednak zatem, aby je potępiać należało; zbytek bowiem, o ile śmieszny i godny politowania dla osób, których stan majątku jest z nim w sprzeczności, o tyle jest godziwym dla bogatych, którzy dogadzając jego zachceniom, wspierają już tem samém przemysł ubogich. Śliczne nocne czepeczki, zdobne koroneczkami Cluny i wstążką, były w cenie rs. 2 kop. 25, garnitury zaś płócienne (kołnierze i mankiety) z wstawkami z tychże koronek, dochodziły do rs. 5. Z pewnością w żadnym z magazynów naszych nie podobnaby znaleźć nic

tańszego w tym rodzaju. Podobały nam się szczególniéj kołnierzyki wykładane (*rabatu*) ze spiczastemi szerokiemi końcami i tak zwane *col juge*, wązkie z dwiema klapkami na przodzie, na wzór tych, które widziéć można na dawnych portretach. Osoba przewodnicząca zakładowi w kroju i szyciu, obdarzona jest rzadką, nader bogatą i pełną dobrego smaku fantazją, w pomysłach powierzonych jéj robót. Niepodobna opisać różnorodnych form i sposobów wypracowania wszystkich przedmiotów, któreśmy oglądali; wspomniemy więc o nich pobieżnie. Podobały nam się szczególnie białe żaknotowe ranne ubrania (*peignoir*), w zupełnie nowym rodzaju. Jeden z nich np. składał się ze spodniczki. w kliny, oszytéj u dołu szerokiem, na cztery palce, ubraniem z tegoż samego materjału, w rodzaju tak zwanéj dawniéj wody, tylko że nie marszczonéj, lecz w drobne układanéj fałdki. Do tego zarzutka zwyczajnego kroju, puszczona z przodu i z tyłu, u dołu pleców lekka przefałdowana, z dużym okrągłym kołnierzem, wygarnirowanym dokoła, równie jak cały *peignoir*, i spodnica. Druga spodnica miała oszycie z haftowanych wstawek, pomiędzy któremi był przemarszczony żaknot; karczek do zarzutki składał się z samych podobnych wstawek i przemarszczonego z dwóch stron żaknotu i szedł tylko od ramienia do ramienia przód zaś *peignoir'a* układany był z każdéj strony w parę dużych kontrafałdów; takież kontrafałdy szły od karczku na plecach, a na nich niby dwie szarfy spadające płasko ze wstawek i żaknotu, podobnież ozdobioną była zarzutka, dokoła nad obrąbkiem. Trzeci *peignoir* równie ładnéj i wcale niezwyczajnéj formy, miał podobnież jak spódniczka u dołu, garnirunek z medaljonów, otoczonych przystębnowaną haftowaną wstaweczką, przez które przewleczona takaż sama wstawka, tworzyła niby łańcuch.

Bluzki białe muślinowe do kolorowych spodnic i kaftaniki, pod względem ozdób i wykończenia, mogły także zadowolnić najwymyślniejsze wymagania, równie jak czepeczki nocne, rozmaite przedmioty ubiorów dziecinnych i koszule męzkie; co do tych ostatnich, najnowszego kroju były z przodami zupełnie gładkiemi z dubeltowego płótna, za całą zaś ozdobę miały haftowane biało po trzy głowy końskie, psie lub tygrysie. Jest to nowość któréj model otrzymano z Paryża. Przody szeroko zahaftowane, już zupełnie zarzucono. Kto je chce koniecznie miéć ozdobniejsze, może miéć tylko w pośrodku wązką na trzy palce wstawkę, z haftem lub zakładeczkami albo z płótna wyciąganego w kostkę ukośną, na kształt dawnych robótek. W ogóle, jak to już nie raz mówiliśmy, hafty, jeżeli jeszcze nie ze wszystkiem zarzucone, to mają daleko mniejszy dział niż dawniéj we wszelkich ozdobach bielizny. Zwłaszcza owych spodnic z szerokiemi szlakami, nad któremi przez całe lata garderobianny traciły czas mogący być lepiéj użyty, już nie widać całkiem, zwłaszcza u osób obdarzonych zmysłem dobrego smaku. Musimy tu powiedzieć jeszcze, że przedmioty haftowane, używane dotąd, jak np. chustki do nosa i cyfry na bieliznie stołowéj, które oglądaliśmy w zakładzie św. Marty, zalecały się bardzo staranném wykończeniem i deseniem prawdziwie artystycznego pomysłu. Wszystkie zatém roboty, wychodzące ztamtąd, śmiało polecić możemy prenumeratorkom naszym i pewni jesteśmy ich zadowolnienia ze sprawunków tego rodzaju, które nam powierzyć zechcą.

W magazynie pani Sobolewskiéj oglądaliśmy ładne kapelusiki i czepeczki, których cena wydała nam się niezmiernie umiarkowaną, bo np. śliczny kapelusz z illuzji białéj, którego główka pokryta była cała spadającą białą konwalią i takiejże konwalji pęk stanowił podpięcie, kosztował rs. 8; kapelusz błękitny krepowy, przystrojony białą jedwabną koronką i spadającym czarnym lawowym łańcuchem, (zwanym *Benoiton* od słynnéj obecnie w Paryżu komedji), był w cenie rs. 7. Kapelusz biały bastowy, z główką

z illuzji, pokrytą niezapominajkami i takiemże podpięciem rs. 8; tyleż kapelusz z *poult de soie* lila, pokrytego biało, strojny w pęki fiołków parmeńskich, i tyleż kapelusz z białego tarlatanu haftowanego w bukiety polnych kwiatów i słomy, kolorowemi jedwabiami i słomką, z podpięciem z tychże kwiatów. Strojne i ładne czepeczki dla osób starszych były po rs. 5; ubrania zaś i stroiki dla młodszych od rs. 3 do 6. Zwrócił też naszą uwagę zgrabnością fasonów wyrobionych w nim kapeluszy, oraz taniością tychże, skromny magazynik pod firmą Florentyny Brylińskiéj przy rogu ulicy Mazowieckiéj i Sto-Krzyzkiéj. Tamże oglądaliśmy i przedmioty należące do bielizny, jakoto: gorsety, krynoliny, gorsy do męzkich koszul etc., odznaczające się starannem wykończeniem i ceną umiarkowaną; gorsety bowiem kosztują od rs. 3 do rs. 7, krynoliny są po rs. 7, gorsy z bardzo cienkiego płótna po rs. 1 kop. 10.

---

## PRZEPISY GOSPODARSKIE.

### O pielęgnowaniu kalafiorów.

(Dokończenie).

Chcąc mieć kalafiory jeszcze rańsze, następnym wychować je trzeba sposobem: pierwszych dni Września zasiać kalafiory na dawnym inspekcie bez okien, gdy podrosną przesadzić do skrzynek lub doniczek ostrożnie, wychować przez zimę w zimnéj oranżerji przy oknach, na wiosnę zasadzić do inspektu i następnie pielęgnować, podług przepisów wyżéj podanych, lub też posadziwszy nie do ciepłego inspektu, przyzwyczajać do powietrza i późniéj jak się da, wysadzić do gruntu, na zagon opatrzony z boku deskami, aby w czasie przymrozków wiosennych można przykryć matami.

Na późniejsze kalafiory zasiać w marcu lub początku kwietnia, na zimnym inspekcie lub rozsadnikach; kiedy flance będą miały do 6 lub 7 liści, przesadzić na zagon, jak się mówiło wyżéj, a zawsze jeżeli deszcze nie przechodzą polewać obficie. Można zasiewać i w Maju, aby mieć owoce w jesieni.

Chcąc mieć kalafiory do użycia przez zimę, tak je wychować: Od połowy Czerwca zasiać rzadko na rozsadnikach lub na gruncie, przesianym przez przetak popiołem, lub sadzą ziemię zasianą posypać i polewać nowo wschodzące rośliny, dla zabezpieczenia od owadów, które je zwykle w tym czasie lubią napadać. Gdy się flance wzmocnią, przesadzić na grunt i polewać; w Październiku pokażą się kwiaty czyli główki, które nakrywając od zimna matami, zabezpieczyć od zmarznięcia. Kiedy kwiaty już porosną, uciąć na kilka cali łodygę z kwiatem, liście większe odłamać i układać główkami na półce lub desce, gdzieś w miejscu suchem, ale nie ciepłem, gdzieby w potrzebie można dawać o ile można świeżego powietrza, tym sposobem można przetrzymać przez dwa miesiące.

Te zaś łodygi, które nie dały jeszcze kwiatów przed mrozami mocniejszemi, w dniu suchym wydobyć z ziemią przy korzeniach, odjąć dolne liście i zasadzić jeden przy drugim w ziemi lub piasku nieco wilgotnym, w izbie warzywnéj, lub w takiéj piwnicy, w któréj nietylko powietrza ale i światła jest dosyć, tym sposobem utrzymane wydadzą późniejsze kwiaty.

Chcąc otrzymać dobre i pewne nasiona, potrzeba najraniej zasadzone kalafiory na miejscu pozostawić, wybrawszy te które mają najpiękniejsze kwiaty, przedłużać polewanie, aż póki nie utworzą się strączki; niekiedy polać przez sitko cały krzak dla oczyszczenia z owadu, lecz i najraniéj zasiane nie zawsze w każdym roku wydają dojrzałe nasiona, trzeba więc na flance zasiewać w jesieni, jak się powiedziało wyżéj. Nasiona kalafiorów zachowują zdatność wschodzenia do trzech i czterech lat.

*J. Poznański*, starszy ogrodnik z zakładu braci Hoser.



KÓŁKO DOMOWE

Sierpień 1866. r.